Nr. 10. Poznań, dnia 9-go marca 1913. Rok XVII.

Abonament
wynosi kwartalnie
na poczcie . 2,—
z odnoszeniem
do domu . . . 2,12
pod opaską . . 3,50

PRACA

Adres Redakcyi:
Poznań,
ul. Rycerska Nr. 38

Telefon Nr. 3097.

OGŁOSZENIA:
od wiersza drobnego
30 fen.

Tygodnik polityczny i literacki, illustrowany.

Niemądra robota.

Ministrowie pruscy załamują ręce nad stałym wzrostem „radykalizmu" w społeczeństwie naszem i objaw ten nierzadko przedstawiają jako jedną z przyczyn polityki antypolskiej...

Przypuśćmy na chwilę, że mówią szczerze i że mają słuszność, że istotnie żywioły umiarkowane coraz bardziej tracą grunt pod nogami, że muszą faktycznie kapitulować przed wciąż rosnącą falą nieprzejednanych żywiołów.

Jakąż tedy powinien rząd uprawiać politykę, by temu rzekomo niepożądanemu dla siebie rozwojowi położyć tamę?

Każdy analfabeta odpowie, że najodpowiedniejszą ku temu drogą: wzmacnianie wpływu umiarkowanych. A więc demonstrowanie społeczeństwu ad oculos, że rząd czyni różnicę pomiędzy tymi, których uważa za radykałów, i umiarkowanymi, słowem wykazywanie na każdym kroku i przy każdej sposobności, że polityka umiarkowana zapewnia jej zwolennikom pewne korzyści i ulgi, których radykalizm żadną miarą osiągnąć nie zdolen.

Tego rodzaju taktyka w krótkim czasie zredukowałaby tyle nienawistne rzekomo rządowi wpływy radykalne, a wśród żywiołów umiarkowanych wzbudziłaby drzemiące pierwiastki lojalizmu do nowego życia.

W ten sposób dałoby się w społeczeństwie podtrzymać ustawiczny ferment i walkę, z której mądry rząd jako tertius gaudens mnogie czerpałby korzyści.

Na szczęście rząd pruski nigdy tą drogą nie chadzał, a wydarzenia ostatnich lat — ustawy wyjątkowe zwracające się bezpośrednio przeciwko umiarkowanym — wykazują, że niebezpieczeństwo płynące ze znanej starorzymskiej zasady, która każe ludzi rozdzielać, aby nad nimi panować — jest od nas dalsze niż kiedykolwiek.

Traktuje się nas wszystkich z równą brutalnością. Aby czasem umiarkowani nie mogli wytykać „radykałom", że im rozbito szereg obchodów — pospieszono się z rozbiciem walnego zebrania najpoważniejszej instytucyi rolniczej!

Postępek zarówno drażniący jak niemądry i bezcelowy.

Dano dowód po raz nie wiedzieć który, że systemowi pruskiemu jest rzeczą zupełnie obojętną, jaką politykę uprawiamy. Czy jesteśmy umiarkowani czy radykalni — to wszystko jedno. Starczy, że jesteśmy Polakami i że do zachowania naszej narodowości i ziemi dążymy, aby nam pokazać pięść opancerzoną.

Ministrowie rozdzierają szaty na piersiach nad rosnącym jakoby wśród społeczeństwa naszego radykalizmem, z drugiej strony rząd i jego organa pędzą wodę na młyn t. zw. radykalizmu i czynią, co mogą, by najspokojniejszych obywateli na siebie oburzyć.

W ostatnim czasie znowu ożywiła się taktyka kłucia szpilkami. Mianowicie w dziedzinie życia stowarzyszeń i zgromadzeń taktyka ta zaznaczyła się w szeregu czynów wyzywających jaknajdosadniejszą krytykę.

Jeżeli rząd sądzi, że w ten sposób złamie odporność społeczeństwa i odstraszy je od pracy społecznej — to się myli.

Nie będziemy naśladowali przykładu danego z góry i „na złość" rządowi nic nie przedsięweźmiemy, bo to nie jest rzeczą dojrzałych mężów. Lecz nie może ulegać żadnej wątpliwości, że wbrew histerycznym szamotaniom się naszych przeciwników, pełnić będziemy swój obowiązek tem sumienniej im większe się nam przeciwstawiać będą przeszkody na tej drodze.

Pod tym względem panuje w społeczeństwie zupełna jednomyślność. I źle byłoby z nami, gdyby było inaczej.

Skutki powstania styczniowego.

Są w życiu narodów nietylko zwycięstwa, lecz i klęski dziejowe, które odnośny naród wiekopomnym blaskiem chwały okrywają. Taką była n. p. w starożytności, w dziejach Sparty klęska pod Termopilami. My zaś w dziejach naszych porozbiorowych więcej liczymy klęsk takich, na których wspomnienie czoła nam z czcią uchylić należy, a do których także zaliczyć musimy powstanie styczniowe, którego wybuchu półwiekową w ostatnim czasie obchodziliśmy rocznicę.

Powstanie styczniowe po półtorarocznych, bohaterskich wysiłkach upadło, bo upaść musiało bez współdziałania całego narodu i bez pomocy zaprzyjaźnionych narodów. Nie spełniły się zwodnicze słowa Napoleona III-go, że „krew powstania nakreśli przyszłe granice Polski," — słowa, które nieszczęsny naród zachęciły do wytrwania w beznadziejnej walce nawet wtedy, gdy car Alekander II. chciał wspaniałomyślnie zupełną amnestyą obdarzyć Polaków w razie, jeźli dobrowolnie broń złożą. Ale te słowa Napoleońskie otumaniły nieszczęsny naród majakiem zbrojnej interwencyi ze strony Francyi i o głodzie i braku najpotrzebniejszych rzeczy, bez amunicyi i nieomal bez broni walczyli dalej, a raczej kryli się po puszczach i lasach przed przeważającym wrogiem, na którego z głębi tych puszcz i z mroku lasów wypadali znienacka, jak orły, po łup i zdobycz, poczem znów cofać się i kryć musieli, nie mogąc dla braku broni i liczebnej przewagi wroga, toczyć z nim regularnej, w otwartem polu walki. Takie zaś położenie bez wyjścia, ta konieczność bezustannego cofania się mimo chęci do boju, świadczy więcej niż rozgłośne czyny, o ich żelaznej wytrwałości i bezgranicznem poświęceniu.

Nie spełniły się jednak lekkomyślnie przez cesarza Francuzów wypowiedziane słowa; krew powstania nie nakreśliła przyszłych granic Polski. Rozbłysły na krótko świt wolności zagasł w pomroce dziejowej, a car Aleksander II. w krwawym odwecie za powstanie styczniowe przywrócił, a nawet wzmógł srogi system mikołajewski rządzenia Polską, zwłaszcza w guberniach litewsko-ruskich.

Wprawdzie i krwi moskiewskiej popłynęły w powstaniu styczniowem strugi, lecz z krwią tą było tak, jak ongi podług podania mitologicznego, z krwią węża, którego Perseusz zabił, chcąc przysłużyć się ojczyźnie.

Ale z każdej kropli krwi ściekającej z posiekanego kadłuba węża rodziły się nieprzeliczone, jadowite gadziny, które się na krwią oblany kraj rzuciły, tłumiąc dech życia w piersiach narodu.

Kraj stał się jednym wielkim cmentarzem, na którym krwawe wyrastały mogiły; jednem wielkiem pogorzeliskiem, nad którem unosił się duch rozpaczy i zwątpienia i zatruwał serca i umysły narodu. Całe sioła i osady wyludniały się, a drzewa pod strasznym uginały się owocem, pod ciężarem niepogrzebanych zwłok wisielców.

Kwiat młodzieży polskiej poległ na polach bitew, a ci, którzy z pogromu ocaleli, kryć się musieli po norach leśnych i niedostępnych mokradłach, ale i tam ich mściwy wróg wytropił i zaludniał nimi lochy i cele więzienne, oraz kopalnie Sybiru. Tysiące rozstrzelanych zostało na placu kaźni, lub zawisło na szubienicach, tysiące pod knutami moskiewskiemi wyzionęło ducha.

A za klęską polityczną szła krok w krok klęska materyalna, ekonomiczna.

Najwięcej ucierpiała Litwa.

Murawiew nałożył na wszystkie polskie majątki ziemskie, wysoką kontrybucyę, która wynosiła dziesięć procent od dochodu i dopiero ukazem z roku 1869 zmniejszono tę kontrybucyę na pięć procent. Kontrybucya ta przyczyniła się do ruiny materyalnej obywateli ziemskich. Wszelkie posiadłości miejskie zostały także obciążone kontrybucyą, ale już mniejszą, bo wynoszącą jeden procent od dochodu.

Ukazem z r 1865 zabroniono Polakom nabywać w guberniach litewsko-ruskich majątków ziemskich. Obywatele ziemscy skompromitowani politycznie musieli w przeciągu dwóch lat sprzedać swe posiadłości i opuścić granice kraju. W razie gdyby w tym czasie nie zdołali znaleźć kupca na swe włości, rząd rosyjski wystawiał je na przymusową licytacyę.

Dokonano też we Wilnie istnego, choć legalnemi pozorami osłonionego rozboju na tamtejszem muzeum archeologicznem, z którego wywieziono do Moskwy wszystkie zabytki starożytności, przypominające w czemkolwiek czasy i stósunki polskie.

W całym zaborze rosyjskim zniesiono obowiązkowy, za staraniem Wielopolskiego wprowadzony wykład języka polskiego, który wykładano odtąd po rosyjsku. Historyę polską fałszowano w ohydny sposób, wykładając w szkołach prywatnych i ludowych, że Polacy byli pierwotnie prawosławni, tylko potem stali się odszczepieńcami i przeszli na katolicyzm; dalej, że Krzyżaków w bitwie pod Grunwaldem pokonali Rosyanie, a na odsiecz Wiednia w r. 1683 pospieszyli kozacy prawosławni.

W Królestwie zniesiono wszelkie instytucye ekonomiczne i społeczno-polityczne, w których Polacy zasiadali, jak Radę Stanu, Komisye Rządowe, a przedewszystkiem Komisyę Sprawiedliwości. Odmówiono sądów przysięgłych dla Królestwa, którego odwieczną nazwę zmieniono na nazwę „kraju prywiślańskiego".

Nietylko jednak pod względem narodowym, ale i pod względem religijnym nastąpił krwawy ucisk.

W Warszawie zniesiono akademię duchowną rzymsko-katolicką. W klasztorach katolickich osadzono czerńców prowosławnych.

W r. 1864 zakazano budować nowych, a naprawiać starych kościołów katolickich bez osobnego pozwolenia, którego władze administracyjne naturalnie nigdy, nawet w najkonieczniejszym nie udzielały wypadku.

Rozpowszechniano katechizm i książki do nabożeństwa urzędowe.

Do chorych nie wolno było z dzwonkiem jeździć kapłanom, którym wręczono też podręczniki urzędowe, podług jakich mieli wygłaszać kazania.

Adam Krasiński, biskup wileński, został wywiezionym w głąb Rosyi za to, że nie chciał wygłosić kazania wzywającego katolików do obowiązków wiernopoddańczych wobec prawosławnego cara.

Na korzyść skarbu państwowego skonfiskowano wszystkie majątki i fundusze kościelne Z kuryą rzymską wzbroniono duchowieństwu wszelkich stósunków. — Biskupów Popiela i Łubieńskiego wywieziono w głąb Rosyi, pozbawiając tym sposobem osierocone dyecezye ich kościelnych zarządzców.

Najciężej jednak prześladowano Unitów. Alumnów unickich wysyłano do akademij prawosławnych, a unickie księgi liturgiczne zastąpiono schyzmatyckiemi i nakazano księżom odprawiać nabożeństwa po cerkwiach unickich w sposób prawosławny.

Gdy po zaprowadzeniu tego zarządzenia lud przestał uczęszczać do cerkiew, wtedy rząd rosyjski wysyłał do takich poszczególnych miejscowości komendy wojskowe, które wobec bez-

bronnej ludności unickiej dopuszczały się strasznych gwałtów. Tak n. p. na Podlasiu we wsi Drewnie i Pratulinie przyszło między bezbronnymi, lecz wzbraniającymi się unitami a wojskiem do krwawych starć, w których kilkadziesiąt osób poległo.

Nakazano gminom, by wysyłały do miast delegatów, których różnemi sposobami zmuszano do podpisywania aktu odstępstwa od unii, a zjednoczenia się z prawosławiem we własnem i całej gminy imieniu. — Całe zaś rodziny unickie wywieziono przymusowo w głąb Rosyi, celem zrusyfikowania ich.

Słowem ucisk Polaków pod zaborem rosyjskim zdawał się nie mieć granic i kresu; niezliczony szereg klęsk, jak ongi z owej legendowej, mitycznej puszki Pandory, rozlał się na głowy nieszczęsnego narodu. A jednak w tej nieprzebranej klęsk narodowych powodzi ocalała nasza nawa ojczysta — nieśmiertelny duch narodu, który chrztem krwawym obmyty, zahartowany, jak żelazo, w ogniu niedoli, nabrał sił niespożytych.

Powstanie styczniowe nie przyniosło nam zdobyczy terytoryalnych, ni politycznych, natomiast przyniosło nam zdobycze moralne, — owo wyżej wziankowane wzmożenie się ducha narodowego, oraz zyskanie trzeźwości politycznej, wykluczającej wszelkie niedościgłe mrzonki i bezowocne oglądanie się na pomoc innych. Każdy naród bowiem sam w sobie przedewszystkiem rozwinąć musi siły do politycznego istnienia.

Powstanie styczniowe opromieniło także naród polski aureolą dawnego bohaterstwa; oręż polski dawną, niezgasłą zasłynął chwałą i dowiedliśmy krwawym protestem, że jeszcze żyjemy i że jesteśmy narodem.

Najdonioślejszym jednak skutkiem powstania, skutkiem, który jeśli się nad tem głębokiej zastanowić, może klęski równoważy, jest bezwarunkowo uwłaszczenie, które bez wybuchu powstania nie byłoby przyszło do skutku.

Wprawdzie w rok po powstaniu, gdy już uwłaszczenie włościan przez powstańców faktem dokonanym było, car Aleksander II nie mogąc już cofnąć rozporządzenia o uwłaszczeniu, by buntu chłopskiego, nieobliczalnego w swych skutkach, nie wywołać, wziął nibyto inicyatywę uwłaszczenia we własne ręce.

Ukaz carski był jednak tylko potwierdzeniem dekretu Rządu Narodowego, do czego sam rząd się przyznał w artykule urzędowym „Ruskiego Inwalida" z d. 9-go marca r. 1864-go, w którym to napisano, że „jeśli z przeprowadzenia ukazu wywłaszczenia wynikną jakie niekorzyści dla szlachty polskiej, to niech ona sama sobie winę ruiny własnej przypisze, gdyż rząd polski rewolucyjny sam wydał dekret uwłaszczenia, przeciw któremu ani jeden ze szlachty nie zaprotestował."

Tak więc bez powstania nie byłoby nastąpiło uwłaszczenie włościan, a kto wie, czy wyzwolenie milionów kmiotków z wiekowej niedoli i niewoli nie przechyla szali strat na szalę korzyści, jakie powstanie styczniowe przyniosło?

Cóż to za epokowe, nieśmiertelne dzieło, by tyle milionów jednostek mimo bytu istnienia skazanych na niebyt polityczny i nędzę zmienić w wolnych obywateli kraju, dać im możnaść posiadania na własność tej ziemi, którą od wieków w pocie czoła stwardniałemi od pracy rękoma uprawiali.

Nie można się nawet wielce dziwić, że ów kmiotek zrodzony i pracujący na ziemi, która jednak własnością jego być nie mogła i ani bytu ekonomicznego, ani politycznego mu nie zapewniała, nie miał chęci do przelewania krwi swej za tę ziemię, na której był niewolnikiem. Uwłaszczenie uczyniło kmiotków obywatelami, a wraz z pozyskaniem tych nowych obywateli zyskaliśmy nowe twierdze, których żadna przemoc, żadna siła zdobyć nie potrafi, a temi są serca, bijące w piersiach narodu.

Tego wiekopomnego dzieła dokonało powstanie styczniowe, więc w roku jubileuszowym powstania oddajmy cześć nielicznym, żyjącym jeszcze weteranom owej epoki.

Uczcijmy pamięć tych, którzy legli pokotem na polach bitew nakształt zżętych kłosów krwawych i tych, którzy na skrzypiących drzewach szubienic zawiśli i tych, którzy na placach kaźni rozstrzelanymi zostali. Cześć tym, którzy pod knutami skonali i tym, którzy zdala od kraju na tułactwie ku miłej Ojczyźnie w długie dnie i noce napróżno tęskny wzrok swój zwracali i tym, którzy w kopalniach Północy za miłość swą do Ojczyzny krwawo pokutować musieli i którzy w zapomnianych mogiłach gdzieś w tajgach sybirskich spoczywają na wieki, zdala od tej ziemi, za którą walczyli.

„Cześć zwyciężonym".

Stefania Tuchołkowa.

Chcesz wiedzieć, na jakich przymiotach zbywa człowiekowi! Posłuchaj, jakiemi najhojniej sam siebie obdarza!

* * *

Przyjaźń jest w chwilach szczęścia wdzięcznym kwiatkiem, w nieszczęściu pokrzepiającym owocem.

* * *

Dziecko powinno własnem doświadczeniem przychodzić do formułowania sobie zasad życia.

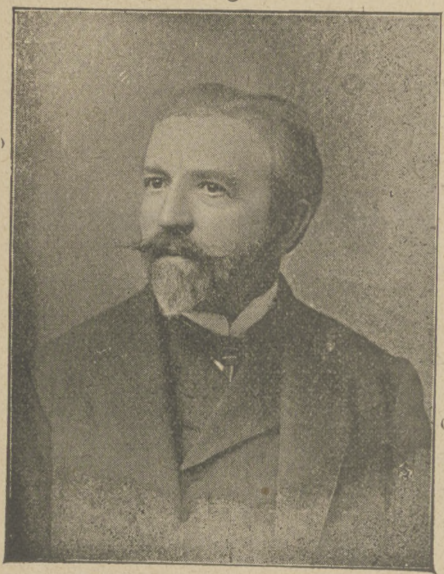
Jeszcze w sprawie wyborczej do sejmu galicyjskiego.

Po długich i spornych naradach w klubach i stronnictwach zwołano w ostatnich dniach posiedzenie sejmowej komisyi dla spraw reformy wyborczej w tem przekonaniu, że sprawa już jest na tyle dojrzałą, iż zachodzi możliwość nietylko dyskusyi przedstawicieli obu narodowości na oficyalnym gruncie to jest w sejmie, ale także i przeprowadzenia uchwały.

Niestety zawiodły nadzieje. Rusini zerwali narady i wszelkie przypuszczenia, że kraj po ośmioletnich targach, układach i naradach otrzyma wreszcie nową reprezentacyę sejmową, spełzły na niczem. I rzecz charakterystyczna: reforma sejmowa rozbiła się nie o zasadniczą kwestyę, lecz o sprawę podrzędną, o sprawę, która nie jest kością niezgody między Polakami a Rusinami, lecz która i w obozach politycznych polskich jest przedmiotem wzajemnej walki, a mianowicie o Rady powiatowe w Galicyi, czyli o autonomię kraju. Niezaprzeczenie, że Rusini wysunęli tę kwestyę ze względów taktycznych wiedząc, że w ten sposób wzniecą waśń w samym obozie polskim, podzielą go i osłabią, sami przez to uzyskają sukurs skrajnych stronnictw, a co ważniejsza odwrócą uwagę i cały impet nienawiści i winy za niedojście reformy od siebie. Nie zawiedli się bynajmniej.

Tło walki następujące: Konserwatyści za cenę reformy wyborczej do sejmu galicyjskiego, między innemi postawili żądanie, aby dotychczasowe ustawy o radach powiatowych specyalnemi zawarowaniami zostały wzmocnione. Stronnictwa polskie godziły się na to, by system wyborczy przy radach powiatowych został kuryalny, ale nie chciały godzić się na system samego wybierania, względnie, aby system ten uznać za niezmienny. Wniosek konserwatystów przeszedł ich głosami, albowiem mają oni większość w komisyi, ale Rusini głosujący przeciw wnioskowi, oświadczyli się przeciw temu tak stanowczo, że złożywszy deklaracyę, opuścili salę obrad. Tu Rusini znający naszą niesforność, nie zawiedli się; za nimi bowiem podążył i Stapiński, który przeciw uchwale imieniem ludowców protestował. I stała się rzecz niezwykła: przeciw konserwatystom stanęły obok Rusinów wszystkie stronnictwa lewicowe, a więc ludowcy i demokraci. Niezgoda i brak solidarno-

ści w obozie polskim okazał się zupełny, a dziwić się należy tylko tym, którzy w ręku dzierżyli ster obrad, że wczas nie przewidzieli skutków głosowania i nie



Dr. M. Bobrzyński. namiestnik Galicyi.

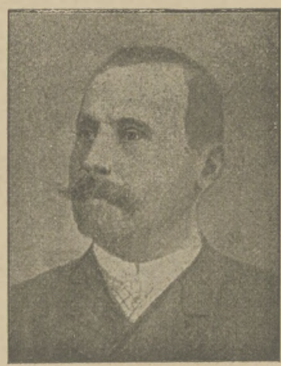
potrafili ochronić imienia polskiego od ujmy, na jaką głosowąniem tem zostało narażone. Wszak tak doniosłą sprawę, jak sprawę autonomii kraju, nie można załatwiać przy sprawie drugiej, nie mniej ważnej reformie wyborczej; nad sprawą Rad powiatowych należało przeprowadzić osobne narady, gdyż ciała te samorządne, jakkolwiek mają wiele braków i wad i daleko im do tego, czem być powinny, to jednak są to resztki tych naszych cieni samorządu, przy pomocy których przecież nasz samorząd w przyszłości rozwijać i utrwalać możemy.



Wacław Zaleski.

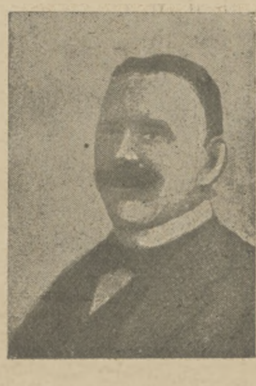
Jeśli więc niektóre stronnictwa polskie widziały braki w ustroju rad powiatowych, to było dość czasu do zajęcia się tą sprawą i wprowadzenia ją na porządek dzienny obrad, ale nie należało czynić z niej konika, na którym jechali Rusini, a którego popędzali ku uciesze pierwszych, niektórzy Polacy. Znów więc popełniono taktyczny błąd na zewnątrz, który trudno będzie i w przyszłości naprawić, tembardziej, że mimo wszystko żądania stronnictw lewicowych polskich nie są bez słuszności, raczej taktycznie były nie na czasie. Winą też jest konserwatystów, że skoro mieli swe własne *conditia*, czy *pacta conventa*, pod któremi godziliby się na przeprowadzenie reformy wyborczej, nie szukali porozumienia z klubami i stronnictwami polskiemi, które zapewne do porozumienia i usunięcia przeszkód dążyłyby, tembardziej, że sprawa reformy wyborczej tak na sercu wszystkim dziś leży.

Szkoda tylko, że rozbite układy we Lwowie przyjdą do skutku na gruncie obcym, bo we Wiedniu, pod auspicyami rządu centralnego, aby koniecznie ktoś obcy nas godził, bo sami zgody u siebie zaprowadzić nie chcemy, czy nie umiemy.



Dr. Witold Korytowski.

Z powodu sprawy reformy wyborczej powtarzają się w prasie uporczywe pogłoski, że dr. M. Bobrzyński, namiestnik Galicyi, zamierza podać się do dy-



Minister dla Galicyi Wł Długosz.

misyi. Jako następców wyszczególniają jedni Wacława Zaleskiego, ministra skarbu, inni dra Witolda Korytowskiego, który jest Wielkopolaninem. Krążą także w prasie pogłoski, że jednocześnie zamierza podać się do dymisyi Władysław Długosz, minister dla Galicyi. Następcą jego ma zostać dr. Leo, prezes Koła polskiego w parlamencie wiedeńskim.

S. W.

Pięć razy więcej pochłonie karczma niż wszystkie zakłady naukowe w kraju.
Stanisław Szczepanowski.

Doktorowa Kosmowska.

O zaufaniu dzieci do rodziców.

(Dokończenie.)

Jest prawie utartym zwyczajem wszelkie kwestye wychowawcze stosować tylko do poziomu klasy zamożniejszej i oświeconej — gdybyśmy jednak chcieli z wyżyn filantropijnych zejść kiedy pomiędzy nasz lud roboczy z braterskim czynem i słowem, znaleźlibyśmy wśród niego bogaty materyał na wychowawców bardzo racyonalnych. Posiada on energię w pracy i niezrównaną wytrwałość, której niestety nam brakuje, zdolność wyrzekania się wygód i przyjemności, zaparcie się siebie i poświęcenie. Wyda się to może paradoksalnem, gdy powiem, że wśród rodzin włościańskich i robotniczych, z jakiemi mnie zetknęły okoliczności, znalazłam więcej szacunku i zaufania dzieci do rodziców niż gdzieindziej. Czy to, że tam słowo nie jest nigdy w rozterce z czynem, czy, że łączy ściślej równość pracy całą rodzinę, czy ta konieczność ciągłych wzajemnych usług i poświęceń, które się nawet cnotą nie nazywają, dość, że tam stosunek rodzinny układa się również bardziej uczuciowo. Nie chodzi o karyerę, bo jej się nie osiągnie, wygody osobiste żadnej nie odgrywają roli — a przytem nauka tak teraz w warstwach ludowych upragniona nietylko jest środkiem — jak wśród inteligencyi — ale także i celem.

Ileż razy spotykałam się ze zdaniem: „chciałbym, aby moje dziecko się uczyło na to, aby być *człowiekiem*.“ Jakież to proste, ale zarazem jakie głębokie określenie. Znałam taką matkę włościankę, co z dochodów swoich zabiegliwych starań koło kobiecego gospodarstwa kształciła swoje córki w szkołach dla ochroniarek i nauczycielek ludowych, a gdy jej robiłam uwagę, że odbiegną od swego otoczenia i mężów nie znajdą, odparła: „niech nie zaznają szczęścia, niech nie zaznają majątku, byle co dobrego zrobiły na świecie.“ A ten ojciec-włościanin, co młode chłopię, nawiedzone duchem poezyi, ale zarazem i dotknięte chorobą piersiową, ratował oddając wszystko co miał: „bo przecież go zachować trzeba dla ludzi, którym coś dobrego przyniesie.“ Chłopiec bowiem śpiewał w swoich rymach w myśl poety: „ciałom wszystkim rozdać chleba — duszom wszystkim — myśli z nieba.“

A przytem w tych śpiących długo duszach, budzi się altruizm — niezmożona chęć zdobycia duchowych wyżyn.

Młodzież marzy samorzutnie o wejściu na tę znaną im z bajki szklanną, pełną niebezpieczeństw górę — na której spoczywa śpiąca — uwięziona królewna. Oto jaki hymn tworzy młody chłopiec wiejski — który rok zaledwie przebył w szkole gospodarczej:

„Hej wszyscy wraz i ramię przy ramieniu
„Sięgnijmy tam, gdzie nasz nie sięga wzrok,
„Niech widzi świat, że duch nasz nie w uśpieniu,
„Że rwie się wzwyż, że chce rozproszyć mrok!
„Więc siły swe ty złącz o wiejska młodzi,
„Po światło dąż — gdy ujrzysz słońca wschód,
„Jasny twój duch — niech Polskę nam odmłodzi,
„Hej! prędzej spiesz — gdyż czeka na cię lud.
„Rozpostrzej, hej, młodzieży skrzydła twoje,
„Ku światłu leć, zwyciężaj wszelki trud,
„Przesądu rozgrom moc, przez wiedzy idź podwoje,
„Gdzie prawdy zdrój — gdzie życia wielki cud...

Dziwnym trafem w tej samorodnej poezyi nieuczonego chłopca włościańskiego, znajdujemy potwierdzenie tego, co mówiliśmy powyżej — odzywa się w niej nie tłumione przez najbliższe otoczenie w imię rzekomej troskliwości — dążenie do ideału, pragnienie walki i zwycięstwa, przyrodzone każdej duszy ludzkiej.

Czyżby to był także jeden dowód więcej zupełnej wadliwości naszych systemów wychowawczych z ostatniego pięćdziesięciolecia, które raczej zabijały niż rozwijały szlachetne i bezinteresowne porywy w duszach dziecięcych — tworząc istoty kalekie, niepożyteczne i nieszczęśliwe.

I uznawszy to, przestaniemy się dziwić buntowi tych dzieci przeciwko nam, raczej go błogosławić powinniśmy — jako naturalny odruch sił, spaczonych może — źle skierowanych — ale jeszcze nie zupełnie zmarnowanych. Ze smutkiem będziemy musieli przyznać sobie winę i w braku zaufania i dziecięcej miłości, znaleść zasłużoną karę. Zaufanie bowiem wyrabia się samo — bezwiednie, w uznaniu szlachetnych stron swojego otoczenia — dziecko przynosi z sobą wrażliwość na nie z zaświatów, poczucie prawdy i wrodzony wstręt do kłamstwa i obłudy. Dzieci nie potrafią rozumować, czują jednak, że w świetle cnot, podniosłych charakterów rodziców, zasoby złożone w ich duszy, rozwijają się jak kwiaty.

Nie jestem powołaną do dawania rad i wskazówek — starałam się tylko odmalować objaw naszych czasów; — do rodziców współczesnych zawołać tylko mogę: „Kochajcie dusze waszych dzieci, kochajcie w nich to, co Bóg dał im najlepszego i w czem leży postęp i odrodzenie ludzkości i impuls do walki ze złem i do ofiarnego czynu. Aryman mści się za każde zgaszone światło. Nie budujmy dzieciom rzekomego szczęścia w ciasnym, egoistycznym zakresie — nie płaczmy też, gdy obiorą sobie drogę ciężką i trudną, byle po cierniach prowadziła do szlachetnego celu.

Od pół wieku popioły zasypują nam dusze, bądźmy zdolni wykrzesać z pod nich iskrę młodego zapału — dla nich — dla naszych dzieci!

Ręka w rękę z niemi, bez wahań, bez leniwych wzdrygań idźmy zdobywać lepszą dla ojczyzny przyszłość!

Warszawa, w czerwcu 1912.

Rynek krakowski.

Do jednych z najpiękniejszych placów nietylko w Krakowie, nietylko w Polsce, ale nawet w ziemiach środkowej Europy należy bezsprzecznie rynek krakowski. Ogromny plac o 11 tys. sążni kwadrat. wytyczony został poza dawnem polskiem miastem, ciągniącem się na sposób polski wzdłuż jednej ulicy, dziś Grodzkiej, z punktem ośrodkowym koło kościoła Dominikanów, który dawniej był kościołem parafialnym. Wytyczynie rynku, a z nim założenie nowego miasta nastąpiło za Bolesława Wstydliwego, który wskutek spustoszenia kraju przez najazdy mongolskie dokonał skolonizowania Polski przez Niemców. W ten sposób w r. 1257 Kraków zmienił swą fizyognomię i przekształcił się na wzór miast niemieckich. Rynek krakowski jest jednak nietylko najwspanialszym placem w Europie, ale jest on miejscem pamiątkowem dziejów Polski i jej wielkich chwil w narodzie. Tędy przeciągał majestatyczny pochód monarchów goszczonych przez Kazimierza Wielkiego, tędy szły liczne i bogate poselstwa od wschodu i zachodu do tronu królewskiego, już wtedy błyszczącego wspaniałością i potęgą. Tędy dążyły pochody królewskie, a więc Jadwigi, Jagiełły i innych, a szczególniej elekcyjnych królów, to znów ponure, ale również wspaniałe pogrzeby monarchów polskich, których ciała składano na Wawelu. Tu na rynku krakowskim na drugi dzień po koronacyi mieszczaństwo krakowskie składało przysięgę wierności monarsze, oraz dary kosztowne. Tu na rynku nawprost ulicy Brackiej hołd wierności Polsce i jej monarsze Zygmuntowi składał Albert, książę pruski, tędy w tryumfalnym pochodzie wjeżdżał zwycięzca z pod Wiednia, Jan III Sobieski; z rynku tego w chwili, gdy Polska ginęła, szedł głos zbawczy przysięgi Kościuszki. Rynek krakowski wreszcie zbroczyła krew polska w 1846 r., gdy rząd austryacki tłumił powstanie polskie i w r. 1848 podczas wiosny ludów. Tędy dziś ciągną liczne pochody z wszystkich ziem polskich, dążąc na Wawel, aby złożyć hołd prochom bohaterów.

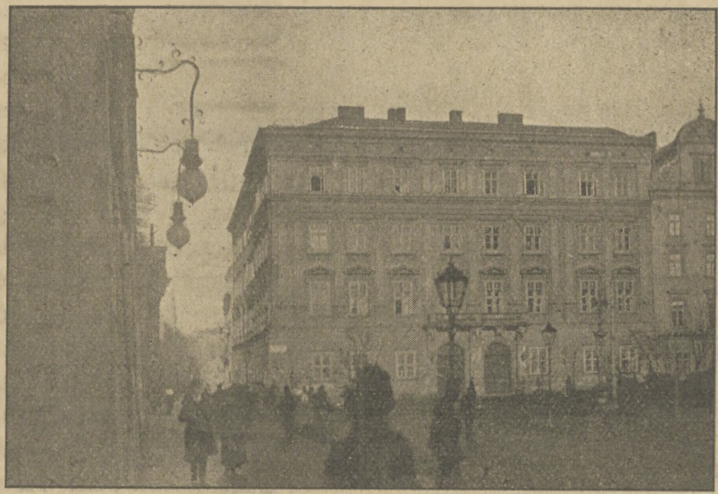
Wygląd rynku, jakkolwiek od czasu jego powstania zmienił się z biegiem wieków, jednak w zasadniczych rysach pozostał ten sam, a jego prastarość nadaje mu cechy tembardziej malownicze.



Pałac ks. Jabłonowskich.

Otaczają go kamienice i gmachy, które w swych murach chowają szczątki nawet z okresu jego powstania, tu i owdzie wspaniałe sale o ostrołukowych sklepieniach dają świadectwo o tem, wspaniała świątynia Maryacka błyszczy dziś takim samym przepychem, jak dawniej jedyna ze świątyń krakowskich, przecież

w całości zachowana od początku swego istnienia. Renesansowe portale, atyki domów, a przedewszystkiem wspaniałe w swym ogromie i wykonaniu Sukiennice świadczą o bogactwie świetności stolicy państwa polskiego z czasów Zygmuntowskich. I z późniejszych czasów nie brak szczątków przeszłości. To też dzisiaj jeszcze rynek krakowski zdobią wspaniałe gmachy i budowle: obok kościoła Maryackiego i Sukiennic, stojących w środku Rynku, stoi kościołek św. Wojciecha, który budowlą swoją sięga XII w., po stronie przeciwnej samotna stoi gotycka wieża ratusza. A wokół Rynku piękne pleśnią okryte kamienice i gmachy, nieme świadki wielkiej przeszłości, a więc kamienica Wierzynkowska, Szara Kamienica, Montellupich, (dawna poczta polska), Cellarych, Mniszchów, Hetmańska, z salą gotycką, mennica polska, ks. Jabłonowskich, pod Baranami Potockich, Lubomirskich, pałac Spiski, Krzysztofory itd. A każda ma piękne karty historyi swej, każdej mury zaszczycone pobytem królów, lub wielkich ludzi i dygnitarzy, albo też znamienna wypadkami historycznemi.



Pałac pod Baranami i pod Jagnięciem hr. Potockich.



Pałac Spiski i Krzysztofory.



Szara kamienica, Montellupich, Cellarych i Mniszków wraz z pomnikiem Mickiewicza.

Dziś czasy się zmieniają. Spekulacyjnym interesom muszą ustąpić nawet najstarsze mury, owite najpiękniejszemi wspomnieniami, okryte najcudniejszemi arcydziełami. Pod młotem spekulanta padło już mnogo kamienic w Rynku, w najbliższej przyszłości padnie historyczny gmach Krzysztofory, siedziba Jana Kazimierza po ustąpieniu z tronu, której komnaty ozdobione do dziś dnia są stiukami przecudnej roboty włoskiego artysty z czasów baroka Baltazara Fontanny.

Kraków odmładza się niestety z uszczerbkiem swej wielkiej i świetnej przeszłości. *S. W.*

Z naszych spraw.

Walne Zebranie Centralnego Tow. Gospodarczego

na W. Księstwo Poznańskie zagaił w ubiegły poniedziałek przed południem na wielkiej sali bazarowej p. dr. T. Szułdrzyński z Bolechowa, w zastępstwie chorego prezesa p. dra Tadeusza Jackowskiego z Wrączyna. Marszałkiem obrano pana szambelana Komierowskiego z Nieżychowa, wicemarszałkiem pana K. Chłapowskiego z Kopaszewa, sekretarzami pp. Unruga z Piotrowa i Ostena z Poznania. Referat o działalności C. T. G. wygłosił p. Sczaniecki z Łaszczyna, o działalności Kółek Włościańskich p. Patron Raszewski. Referaty przyjęto bez dyskusyi. Do chorego prezesa wysłano telegram.

Następnie po południu rozpoczęły się prace w wydziałach, lecz w chwili, gdy p. Jan Chłapowski z Chotowa zagaił obrady, komisarz policyi zażądał, aby obrady toczyły się w języku niemieckim. Ponieważ nie zastosowano się do tego żądania, przeto *zebranie rozwiązał*. Policya w sposób bardzo szorstki opróżniała salę bazarową, która była zapełnioną.

O tej samej godzinie obradowało na małej salce „Domu Katolickiego“ Towarzystwo leśne. W godzinę może po zagajeniu obrad wkroczyła i tam policya i zebranie również rozwiązała, nie pozwalając nawet zebranym na pozostanie w innej już ubikacyi przy szklance piwa.

Przerwane w poniedziałek obrady w Bazarze w Poznaniu toczyły się w dalszym ciągu w dniach następnych w Starołęce pod Poznaniem na sali p. Kempfa. Ruch był wielki. Mnóstwo automobilów wyruszyło z miasta do Starołęki. Ostróżność posunięto tak daleko, iż tam odmówiono wstępu nawet zastępcom prasy.

W chwili, gdy kończymy redakcyę niniejszego numeru, toczą się jeszcze obrady w Starołęce, o których napiszemy w następnym numerze i zamieścimy ryciny sfotografowane tamże.

* * *

W sprawie „Rady Narodowej“.

Na zebraniu reprezentantów stronnictw i organizacyj politycznych w czas zaproszonych przez „Związek Narodowy“ na 27-go z. m. wieczór do Poznania zapadła w sprawie mającej się utworzyć „Rady Narodowej“ następna rezolucya:

„Zebranie przedstawicieli stronnictw godzi się w zasadzie na projekt Rady Narodowej, opracowany przez Koła poselskie, o ile to dotyczy wydziału politycznego, a mianowicie, że składać ma on się na razie tylko z delegacyj Komitetu Centralnego i Kół poselskich. Co zaś dotyczy wydziałów kulturalno-oświatowego i społeczno-gospodarczego zebranie wyraża opinię, że zaleca się, by powołani do nich w drodze kooptacyi działacze posiadali pełne prawa członków, zarówno w odnośnym wydziale jak i na plenarnej Radzie.“

Zebranie po przeprowadzeniu ogólnej dyskusyi w szczegóły zakresu i metod pracy Rady Narodowej nie weszło, w przekonaniu, że regulamin Rady Narodowej sprawy te ściśle i wyraźnie określi.

* * *

Wybory w Świeciu.

Na jednem z ostatnich posiedzeń parlamentarna komisya rugów zaczęła rozpatrywać protest przeciwko wyborowi posła Halema w powiecie świeckim. Zajmowano się żądaniem Polaków, aby mandat Halema unieważniono i proklamowano posłem z okręgu świeckiego Sasa-Jaworskiego, gdyż tenże w 1912 roku uzyskał większość głosów. Dyskusyi nie skończono, ale ponieważ żądanie polskie popierają tylko postępowcy i socyaliści, a centrum oświadcza się przeciwko niemu, nie ulega wątpliwości, że żądania Polaków nie będą uznane. W komisyi jednak panuje przekonanie, że przytoczone w proteście polskich wyborców ze Świecia nadużycia wystarczą do unieważnienia mandatu Halema. Nie nastąpi to od razu, bo komisya uchwali prawdopodobnie dochodzenie na miejscu.

* * *

Protest przeciwko wywłaszczeniu.

Przeszło 4000 urzędników gospodarczych, kasyerów, leśniczych, gorzelniczych i gospodyń podpisało protest przeciwko wywłaszczeniu majątków polskich. Protest ten zostanie doręczony jednemu z naszych posłów celem zużytkowania go w odpowiedni sposób.

* * *

Nowe fundusze antypolskie.

Świeżo doręczono izbie poselskiej pruskiej przedłożenie, żądające nowych kredytów na wzmocnienie niemczyzny w Poznańskiem i Prusach Zachodnich w sumie 230 milionów.

* * *

Przeciwko rządowi pruskiemu

występuje organ watykański „Osservatore Romano“, za to, że zmusza się w Prusach 80 tysięcy dzieci katolickich do uczęszczania do szkół ewangelickich. Dziennik ten rzymski powiada bez ogródki, że taki stan rzeczy nie może istnieć dalej, bo przecież nie można spokojnie patrzeć na to, aby tyle tysięcy dzieci katolickich przesiąkało duchem, przeciwnym naszej wierze świętej i domaga się, aby władze pruskie postarały się o zmianę tych stosunków, krzywdzących dzieci katolickie.

* * *

Oczyszczenie organizacyj polskich.

Na walnem zebraniu Komitetu politycznego w Berlinie wraz z delegatami Towarzystw Wyborczych powzięto następującą uchwałę:

„Zjazd delegatów Towarzystw Wyborczych i Komitetu politycznego Polaków na obczyźnie po prawym brzegu Łaby z siedzibą w Berlinie uchwala:

„Do zarządów Towarzystw Wyborczych mogą należeć tylko rodacy, utrzymujący dom czysto polski.

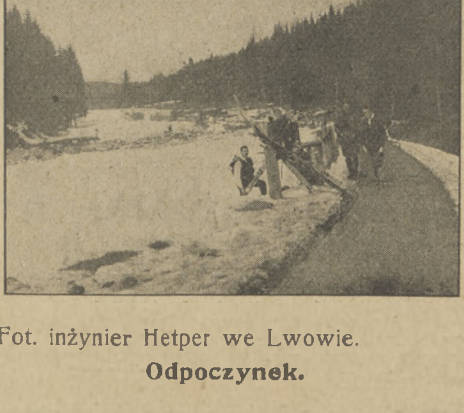
Zarazem zjazd ustanawia jako zasadę, że tylko te instytucye polityczne, oświatowe i ekonomiczne na obczyźnie zasługują na poparcie, których zarządy składają się z osób, utrzymujących dom czysto polski i biorących czynny udział w pracach obywatelskich rodaków na obczyźnie.“

W sprawie wyborów sejmowych po odpowiednim referacie uchwalono, ażeby wszyscy Polacy należący do Komitetu Politycznego z siedzibą w Berlinie, po prawym brzegu Łaby wstrzymali się od głosowania.

Pierwszą uchwałę zrozumie każdy, kto wie, że często „zagorzały“ Polak w domu z dziećmi swemi rozmawia po niemiecku i nie stara się o narodowe wychowanie.

Wycieczka na Czarną-górę.

W niedzielę 23 lutego ośmiu turystów przy mrozie — 32° C. wyjechało ze Sławska pociągiem do Tuchli. Ze stacyi udali się narciarze drogą do Libuchory, a ztąd następnie na Daszkowiec. Po krótkim odpoczynku wyszli turyści na szczyt Matachin (1220 m.) Tu rozdzieliła się wycieczka na dwie grupy; mniejsza, licząca 3 turystów zwróciła się ku



Fot. inżynier Hetper we Lwowie.

Odpoczynek.

Tuchli z zamiarem przejścia przez Kindrat, druga w liczbie pięciu przez Urbicz wydostała się na Czarną górę (1215 m.) Śnieg puszysty pokrywający tereny grubym całunem, nadawał się znakomicie do wszelkich ćwiczeń i zjazdów — to też uczestnicy wycieczki korzystali o ile tylko było możliwem z tak znakomitych warunków śniegowych.

Granią, bardzo pięknym zjazdem, udali się narciarze na Szeroką, poczem



Fot. inżynier Hetper we Lwowie.

Na szczycie.

do potoku Czerniżyszcze, skąd drogą do stacyi Zełemianki. Droga odbyta w tym dniu wynosiła około 28 km.

Początkujący narciarze udali się pociągiem do stacyi Rożanki, poczem południowo-zachodnim stokiem udali się ku Tatarówce. Stąd północną granicą zjechano ku torowi kolejowemu. Mróz nad ranem tak silny w ciągu dnia zelżał zupełnie i w słońcu było zaledwie — 1° C.

Saski.

Lwów, 2 marca 1913.



Fot. „Camera“ Z. Śniegocki w Poznaniu.

„Obrona Trembowli“. Rzeźba.

Wielkie zainteresowanie wzbudził w ostatnim czasie wystawiony w oknie wystawnem przy Alejach nr. 35 gdański skarbiec z obrazem „Obrona Trembowli“. Wykonawcą jest młody rzeźbiarz p. Franciszek Smolibowski z Poznania, a wystawcą mistrz rzeźbiarski p. Stefan Petliński z Poznania.

Kto nie myśli o sobie, ten pewno dziś traci, bo jak brać — to są bracia, jak dać — niema braci.

Na widowni.

Pożądana dla naszych rodaków pod zaborem austryackim nadeszła wiadomość o porozumieniu się pomiędzy Rosyą a Austro-Węgrami.

Porzumienie to wszakże ma być tylko tymczasowe.

Austrya i Rosya godzą się na zmniejszenie liczby szeregowców w kompanii w wojskach zgromadzonych nad granicą, tak po stronie rosyjskiej jak i austryackiej.

Siła jednej kompanii nie ma przenosić 150 ludzi. Z ugody tej widoczne, że niebezpieczeństwo zatargu zbrojnego zostało usunięte tylko chwilowo, że oba rządy chcą oszczędzić na wydatkach, niszczących ich finanse i że wszakże oba nie wierzą w możność utrzymania pokoju na długo.

Niesłychane wrażenie wywarła w całym świecie ucywilizowanym wiadomość o zbrojeniach niemieckich i projektowanych przez rząd niemiecki środkach pokrycia wydatków na te zbrojenia.

Jak wiadomo, rząd niemiecki chce fundusze potrzebne zebrać tym sposobem, iż zabiera pewną część majątku swoim poddanym!

Projektowane jest, ażeby wszyscy posiadający ponad 30 000 marek majątku, odstąpili 1—2 procent majątku państwu na wydatek na armię.

Jest to rodzaj kontrybucyi wojennej praktykowanej w czasach wojny. W pokoju rzecz to niebywała, chociaż z punktu widzenia warstw mniej miennych pożądana, ponieważ nowy podatek zapłacą tylko bogaci.

Niezwykły to środek i w nadzwyczajnych tylko mógłby powstać czasach.

Cesarz niemiecki określił rok obecny jako rok mający polityczne znaczenie dla Niemiec roku 1813, kiedy to całą Europę ogarniał pożar wojenny.

Z pewną rezygnacyą, ale z widocznym niepokojem piszą o tem gazety niemieckie.

Niemcy rządzą się tą zasadą: wojna kosztowałaby jeszcze więcej, jeżeli więc ofiara ta zdolna zażegnać niebezpieczeństwo wojny, to społeczeństwo niemieckie powinno ją złożyć.

Chodzi wszakże o to, co się stanie w przyszłości? Co nastąpi, gdy za rok lub wcześniej jeszcze, a potem mniej okazywać się będzie potrzeba okupowania ustawicznie pokoju tak wielkiemi ofiarami?

Pytanie zachodzi, czy niejeden patryota niemiecki wobec powtarzających się konfiskat jego majątku nie wyniesie się za wczasu ze swemi kapitałami za granicę.

Nie dziw, że wszyscy dziś pytają, jaka wojna grozi Europie, czemu wojna ta jest nieunikniona?

Wiadomo przecież to tylko, iż położenie rzeczy jest dziś takie, że wojna europejska nie wybuchnie dopóki trwać będzie wojna na Bałkanach.

Niebezpieczeństwo wojny w Europie stanie się dopiero wówczas aktualnem, gdy przyjdzie do rozwiązania kwestyi albańskiej.

Państwa trójprzymierza oparły dziś wszystkie swoje nadzieje na wielkiej Albanii.

Królestwo albańskie ma być przeciwwagą słowiańskim państwom bałkańskim, Arnauci mają powstrzymać w danej chwili Serbów i Rusinów od zamiarów odebrania ziem serbskich lub rumuńskich Austryi, od pozbawienia Austryi tego stanowiska mocarstwowego, które dla niej utrzymać pragną Niemcy, chcące w Austryi posiadać silnego sojusznika.

Niemcy widzą już zbyt wyraźnie, że nienawidzącej ich całej Europie czoła stawić nie mogą; potrzeba im było koniecznie armii austryackiej z milionami żołnierzy słowiańskich. Ponieważ na tych słowiańskich żołnierzy austryackich i dziś już liczyć nie mogą, przeto starają się dziś wytężyć siły wszystkie, które posiadają i wystawić armię jaknajpotężniejszą.

W tym celu nakłada się kontrybucyę wojenną w własnym kraju.

Nader interesującem pendent do Europy w pełnej zbroi, oczekującej wojny, jest mowa nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych Wilsona wygłoszona przed gmachem Białego Domu do zgromadzonych mas narodu.

Bardzo ciekawe wypowiedział zdania nowy prezydent demokratyczny.

Oświadczył on między innemi, że dotychczasowe rządy stronnictwa republikańskiego zamało dbały o obronę przed wyzyskiem robotników, kobiet i dzieci.

Społeczeństwo — mówił prezydent — chcące żyć i rozwijać się nie powinno swoich własnych członków miażdżyć.

Jest rzeczą znaną dostatecznie, jaki okropny wyzysk robotników panował dotychczas w fabrykach, kopalniach i hutach amerykańskich, ilu dla braku środków ochronnych zostało kalekami i ilu życie straciło. Zapowiedź nowego prezydenta powitają z radością wszyscy miłośnicy postępu narodowego ludzkości.

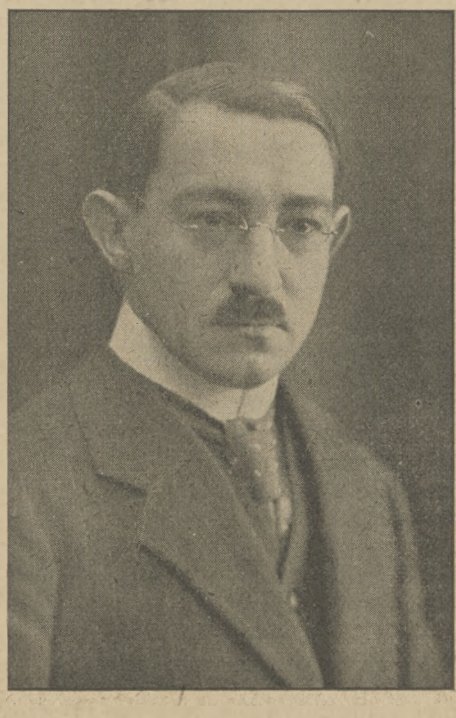
Nowy zakład leczniczy w Poznaniu.

Poznański zakład ortopedyczny imienia Bronisława Saturnina Gąsiorowskiego na Bytyniu, ufundowany przez córkę



Fot. Atelier „Elite“ w Poznaniu.
Mieczysław Powidzki.

tegoż, pannę Gąsiorowską z Nicei, a zbudowany podług planów i kosztorysów p. architekta Mieczysława Powidzkiego



Fot. Atelier „Elite“ w Poznaniu.
Dr. Ireneusz Wierzejewski.

z Poznania, przy ulicy Alejowej nr. 7 na św. Łazarzu, otworzy swe podwoje dla cierpiącej ludzkości w najbliższym czasie.

Nowa ta instytucya ma jako zadanie, w przeciwieństwie do istniejącego już w Poznaniu w Górczynie zakładu dla nieuleczalnych — zajmować się leczeniem kalek, by dać im możność choćby tylko częściowej zdolności do pracy.

W przyszłości projektowane jest powiększenie zakładu przez urządzenie



Fot. „Camera“ Z. Śniegocki w Poznaniu.

Zakład otropedyczny imienia Gąsiorowskich w Poznaniu.

rozmaitych warsztatów w celu dania — po ukończeniu leczenia kalekom możności gruntownego wykształcenia się w odpowiednim zawodzie.

Funduszem przeznaczonym na utrzymanie zakładu zawiadują pp. szambelan Stanisław Turno z Objezierza i mecenas Rychłowski z Poznania. Na dyrektora i naczelnego lekarza powołano p. dra Ireneusza Wierzejewskiego, pierwszego asystenta zakładu dla kalek w Berlinie.

Z TEATRU.

Czesław Ganowicz: „Dola“.

Węzły bliskiego pokrewieństwa łączą mnie z autorem „Doli“, pozatem książkowe wydanie tej sztuki wyszło nakładem „Pracy“, której jestem kierownikiem. Dwojakie zatem względy radzą mi nie wygłaszać publicznie sądu o sztuce rzeczonej. Nie chcąc jednak pozbawiać czytelniczek nadobnych wszelkiego o niej wspomnienia, podaję poniżej wyimki z krytyk dwóch moich wielce szanownych kolegów, których sąd wytrawny w rzeczach artystycznych powszechnem cieszy się zaufaniem.

I tak pisze p. Dyonizy Królikowski w „Dzienniku Pozn.“ co następuje:

„„Dola“ jest pierwszym utworem scenicznym młodego autora wielkopolskiego, znanego już z szeregu poezyj, drukowanych w pismach poznańskich. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że autor posiada talent uprawniający do nadziei, iż jego utwory sceniczne posiadać będą wartość rzeczywistą. Słabą stroną pierwszego utworu jest pewien brak kombinacyi w konstrukcyi scenicznej, brak wycieniowania tła i oddania należytego milieu, z któregoby wychodziły wypuklej postacie. Atoli zdaje się, że to przeważnie wina pobieżnego może traktowania sprawy. Najważniejszą zaletę, pryncypalny warunek pisania na scenę, zdaje się autor posiada, bo wie, co jest nerwem scenicznym i na czem polega efekt.“

„Scenicznie rzecz opracowana jest zręcznie. W pierwszym akcie scena, w której żona porzuca dom i męża, jest wysoce dramatyczną. Autor umiał dać sposobność artystom do gry, wywołującej efekt. Również w akcie trzecim powrót żony do męża, scena powitania i ostateczne rozstanie się, są pomyślane bardzo scenicznie. To też muszą zawsze wywołać należyte wrażenie, o ile artyści zadanie swe spełnią należycie.“

„Dla publiczności, która szczelnie zapełniła teatr, była sztuka miłą niespodzianką i już po drugim akcie autora wywołano, urządzając mu owacyę kwiatową.“

W „Kurjerze Pozn.“ znajduję następującą pochlebną ocenę pióra p. Bolesława Marchlewskiego:

„Młody autor wielkopolski p. Czesław Ganowicz poraz pierwszy w sobotę wstąpił w szranki sceniczne i śmiało stanął do turnieju. A turniej to niełatwy zaprawdę. Pegaz dramatyczny, którego tak chętnie dosiadają młodzi ludzie między 20. a 30. rokiem życia to najszlachetniejszy z koni skrzydlatych w służbie muz — zanim się spodziejesz, a już leżysz na piasku areny, ku uciesze złośliwej bezlitośnie gawiedzi. Trzeba wprawnej dłoni i władczej siły, aby utrzymać się w siodle i zdobyć błękitną wstęgę rycerza sceny.

Czy p. Ganowicz zdobył ją istotnie, czy naprawdę w nim nowy talent, na niwie wielkopolskiej zrodzony, zabłysnął na horyzoncie sztuki dramatycznej, czy hołdować mu mamy jako nowemu królowi w państwie teatru? Zapewne, hołdy takie byłyby jeszcze przedwczesne, zbyt rychłe laury pochlebców rzeszy na drugi dzień już więdną i opadają. Pan Czesław Ganowicz wstępnym bojem sobotnim nie zabiegł jeszcze na szczyty, nie trafił władnym rzutem w pierścień lśniący, rycerski. Ale to, co nam dał, dowodzi, że to nie intruz przygodny, który porwał się na rzecz szaloną, że to nie jeden z tych wielu błędnych rycerzy sztuki, którzy chorobliwą pożerani ambicyą padają wśród wysiłków rozpaczliwych, nieudolnych, nie doszedłszy nawet do progu królestwa wymarzonego. Autor „Doli“ przekonał nas, że tkwi w nim materyał szczery, rzetelny, ożywiony iskrą talentu, z której wytrysnąć może płomień twórczości wielkiej, prawdziwej.

„Dola“ jest pierwszą próbą dramatyczną p. Ganowicza, pierwszem rozpięciem skrzydeł do lotu. Że lot ten nie może iść od razu w wyżyny niebotyczne, to jest jasnem. Czuje się, że młody autor jeszcze nie umie wziąć pełnego zapędu, że waha się i boi z całym impetem



Fot. A. Giebel Kudowa

Dr. Czesław Ganowicz.

ogarnąć bezkresne horyzonty, ale czuje się także w tem wszystkiem zapowiedź większych zdobyczy i zwycięstw. „Dola“ jest raczej jeszcze szkicem dramatu niż dramatem w całej pełni. Główne linie akcyi i figur zarysowują się zupełnie wyraźnie, ale brak jeszcze dopełnień, brak wykończonej barw harmonii, brak kompozycyi ścisłej a zaokrąglonej, aby stworzyć cały obraz. A jednak i to tak szkicowo narysowane dzieło przykuwa uwagę naszą do siebie i wywołuje żywy oddźwięk w naszych sercach. To zrobić mogą tylko ludzie żywi na scenie, nie manekiny sztucznie poruszane. W

tem tkwi główna zaleta utworu p. Ganowicza, główny dowód istotnego talentu.

Sam temat sztuki nie jest nowy. Rozterka między miłością kobiecą a powołaniem artystycznem, walka między cichem szczęściem kochania a kuszącym powabem sławy — oto motyw przewodni „Doli“.

Ta akcya prosta, nieskomplikowana jest przeprowadzona zręcznie, bez żadnych efektów, bez sztuczek melodramatycznych, a jednak z szczerą siłą, ujmującą za serce. Jedynie wprowadzenie mistycznego uosobienia Doli wydaje się sztucznem zapożyczeniem u Przybyszewskiego. Sztuka znalazła w teatrze żywy poklask, młodego autora wywołano kilkakrotnie.“

Pozostaje mi tylko wspomnieć o grze artystów, która, o ile chodzi o reprezentantów obu głównych ról, była wprost koncertowa. Tak p. Kindler jako Zygmunt jak p. Młodziejowska jako Janka stworzyli postacie drgające życiem i zmuszali widza współprzeżywać ten dramat, który ich duszami targa. Natomiast słaby był Ralf pana Kęckiego, który sobie nawet nie zadał trudu pamięciowego opanowania roli. Poetyczną scenę pożegnania z Janką zepsuł nieco zbyt melodramatyczny patos p. Böhlkiego. Również p. Ryll nie był stosownym reprezentantem dla roli dyrektora teatru. Na miejscu były pp. Adamówna i Drozdowska. Znakomicie zaś wywiązała się z zadania p. Górska jako Katarzyna Dola, która to postać, według mego zdania, nic nie ma istotnie wspólnego z takiemi postaciami jak mamka w „Śniegu“ Przybyszewskiego. Nie sądzę, żeby autor chciał ją mieć mistycznem uosobieniem doli, jak mniema p. Marchlewski. Na to zbyt realistycznie ją traktuje. Co prawda potrzebną w dramacie epizodyczna ta postać nie jest.

Do uświetnienia wieczoru przyczynił się znakomicie występ p. Włodzimierza Malawskiego, który kilkoma prześlicznemi pieśniami obdarzył publiczność, czarując zarówno blaskiem swego głosu jak nieporównanym urokiem swego kunsztu pieśniarskiego. Znakomity artysta śpiewał pomiędzy innemi także utwór p. Mieczysława Eichstaedta p. t. „Taniec“, rzecz odznaczającą się tak niepospolitym urokiem melodyjnego pierwiastka jak finezyjnością lekkiego, upojnego rytmu. *R.*

Jeżeli chcesz być w życiu szczęśliwym, to przyczyniaj się do szczęścia innych.

* * *

Pierwszy to jest znak upadłej fortuny, Że przyjaciele mówią prawdę.

Juliusz Słowacki.

Z bieżącej chwili.

Pani Wanda Landowska,

słynna wirtuozka na klawicymbale, o której w „Pracy“ pisaliśmy niejednokrotnie, osiągnęła wyjątkowe stanowisko. Akademia muzyczna w Berlinie (Königliche akademische Hochschule für Musik) powołała naszą dzielną artystkę na profesora klasy klawicymbału i dawnej muzyki klasycznej.



Wanda Landowska gra na klawicynie.

Klasę tę otworzono umyślnie w tym celu, aby ją powierzyć znakomitej tej specyalistce.

P. Wanda Landowska obejmuje nowe stanowisko z początkiem kwietnia. Otwiera się przed „polską Bachantką“ (Polnische Bachantin), jak żartobliwie Landowską nazwał Nikisch, szerokie pole do działalności muzycznej.

Artystka doszła do skończonej perfekcyi w odtwarzaniu Bacha i całej literatury klasyków i przez to zdobyła tę wyjątkową powagę i wyjątkowe stanowisko w świecie muzycznym.

P. Wanda Landowska kończy niebawem pełną tryumfów wędrówkę artystyczną po Rosyi i z Moskwy udaje się wprost do Berlina, aby przystąpić do organizacyi swej katedry profesorskiej.

* * *

Proces z powodu mowy wiecowej.

W mieście naszem toczył się przed izbą karną dnia 1-go bm. proces przeciw pani Ewaldowej z Kozichgłów z powodu mowy wygłoszonej na wiecu w sprawie wywłaszczenia w Urbanowie pod Poznaniem. Jako główny świadek występował komisarz kryminalny Böhme, który starał się sprawę tę przedstawić jako bardzo doniosłą. Głównie chodziło o zwrot mowy pani Ewaldowej, w którym wyraziła się, iż agentów namawiających Polaków do sprzedaży ziemi komisyi kolonizacyjnej należy wyszczuć psami. Pani Ewaldowa broniła się tem, że wyrażenia tego użyła obrazowo. Prokurator wniósł o miesiąc więzienia. Sąd skazał obwinioną na 90 mrk. kary odnośnie 30 dni więzienia. Obwinioną bronił p. mecenas Sławski.

Publiczność wykluczono z rozpraw



Fot. „Camera“ Z. Śniegocki, Poznań.

Pani Ewaldowa, włościanka, z Kozichgłów pod Poznaniem.

rzekomo dlatego, iż publiczne rozprawy zagrażałyby interesom państwa.

Z powodu mowy na wiecu w Krotoszynie również prokuratorya wytoczyła proces pani Ewaldowej.

* *

Woodrow Wilson,

nowo wybrany dnia 4-go listopada r. z. demokratyczny prezydent Stanów Zjednoczonych, wprowadził się dnia 4-go bm. do Białego Domu w Waszyngtonie i



Wilson, nowy prezydent Stanów Zjednoczonych.

objął urzędowanie, które do tego czasu piastował poprzednik jego były prezydent republikański Wiliam Howard Taft. Waszyngton przybrał w dniu wzmiankowanym uroczystą postać na przybycie nowego prezydenta Wilsona. Na całej drodze tłumy ludzi i wojsko z muzyką witały prezydenta, który udał się z wizytą do ustępującego prezydenta Tafta. Sufrażystki wystąpiły w malowniczych kostyumach. Miasto mia-



Wiliam Howard Taft.

ło wygląd uroczysty. Spokoju nie zakłócono nigdzie z wyjątkiem zajścia podczas pochodu sufrażystek, w szeregi których wjechał przez nieuwagę policyant konny. Kilka osób jest lekko rannych.

Wieczorem odbyło się w Białym Domu posiedzenie, na którem Taft ostatni raz przewodniczył. W mowie programowej zwrócił się nowy prezydent przeciw trustom i kartelom, zapowiedział też rządy demokratyczne przy jak najszerszych prawach politycznych i społecznych.

Uroczyste poświęcenie fabryki H. Cegielskiego w Główniе

pod Poznaniem

odbyło się dnia 5-go bm. przy współudziale bardzo licznych gości,mianowicie ziemian przybyłych na walne zebranie Centralnego Towarzystwa Gospodarczego na W. Ks. Poznańskie. Szczegółowy opis podamy w przyszłym numerze „Pracy“, w którym zamieścimy szereg ilustracyj odnoszących się do uroczystości.

Fabryka H. Cegielskiego egzystuje od roku 1846 założona przez ś. p. Hipolita Cegielskiego. W roku 1899 przybrała formę towarzystwa akcyjnego z kapitałem 1 100 000 marek.

Oddział przemysłowy wybudował około 300 gorzelni, krochmalni a także i syropiarni, — oddział machin rolniczych dostarczał i dostarcza wszelkich machin i narzędzi. Fabryka zyskała od początku swego istnienia ogromną ilość odznaczeń i dyplomów na wszelkich wystawach, które obsyłała. Wyroby jej cieszą się pokupem wielkim nietylko we wszystkich 3 zaborach, lecz także dalej na zachodzie Niemiec, w Rosyi i nawet na Bałkanie, gdzie do Rumunii, Serbii już duże ilości pługów dostarczyła.

W latach 1911 i 1912 została przeniesioną na nowy teren w Główniе pod Poznaniem. Tutaj rozbudowała się na wielką skalę i urządziła nowocześnie, tak że będzie mogła zbyt swój potroić, czego jej życzyć wypada, bo jest ona najstarszem i największem przedsiębiorstwem polskiem w fabrykacyi machin.

Nowy teren na Główniе ma około 50000 kwadr. metrów obszaru, z których już zabudowano około 15 000 mtr. kwadratowych, — jest więc jeszcze miejsca na powiększenie dosyć. Niektóre budowle mają ogromne rozmiary, tak n. p. hala montażowa ma blizko 5700 mtr. kwadr. powierzchni pod jednym dachem i w szczycie 14 m. wysokości. Wagony wjeżdżają do niej w środek i żóraw elektryczny mogący unieść 7500 kg. służy do obsłużenia ich. Wszystkie machiny zapędzone są elektrycznie.

Siłę elektryczną do zapędu i do światła wytwarza nowoczesna machina parowa 250 konna. Odlewnia żelaza może dostarczać odlewy wyborowe do 7000 kg. wagi w jednej sztuce, a przytem także małe przedmioty formowane maszynami.

Kuźnia fabrykuje masowo pługi wszelkiego rodzaju i inne narzędzia rolnicze. Kotlarnia dostarcza kotłów parowych itp. Olbrzymie magazyny umożliwiają wysyłkę wagonami ogromnych ilości machin rolniczych w czasie sezonu.

Akcyonaryusze są przeważnie ziemianie z Księstwa Poznańskiego. Prezesem rady nadzorczej jest p. Władysław Jerzykiewicz. Zarząd składa się z pp. inżyniera dypl. Henryka Suchowiaka i Władysława Żelazowskiego.

Nasze ryciny.

„Niewierna małżonka.“

Reprodukcya dzisiejszego obrazu albumowego, którego twórcą jest nasz pobratymiec, malarz słowiański Wasyli Dmitrowicz, przedstawia scenę z zamierzchłej przeszłości. Widzimy na obrazie tłum wzburzonego pospólstwa prowadzącego przez sąd żydowski „niewierną małżonkę“, którą za złamanie wiary małżeńskiej okrutna spotka kara. Piękny obraz świadczy o niepospolitym talencie malarza.

Odezwa

Tow. Katolickiej Opieki Dworcowej w Poznaniu ul. Wrocławska nr. 4.

Nadchodzi wiosna, a z nią wzmaga się corocznie nieszczęsny ruch emigracyjny, wobec tego przypominamy istnienie naszego Towarzystwa i prosimy szanowne panie ze wsi i z miast naszych o życzliwy w pracy współudział.

W pierwszym rzędzie pragniemy zaznaczyć, że Towarzystwo nasze jest przeciwne wychodźtwu. Nie ułatwia dziewczętom wyjazdu z domu, ale gdziekolwiek się znajdują, dopomaga im do uczciwego zapracowania na chleb powszedni, otacza je opieką, aby zawsze postępowały drogą cnoty i obowiązku.

Prąd emigracyjny jest niestety chorobą wieku; nie wiedząc o naszem Towarzystwie, setki dziewcząt opuszczają corocznie dom rodzinny. Stręczarki z miast wielkich, jak Berlin, Hamburg, mają w Księstwie naszem pełno a-

gentek, które werbują dziewczęta do kawiarń o reputacyi bardzo wątpliwej. Czyż będziemy spoglądali na to obojętnie? czy nie podamy im ręki pomocnej z obawy, że nasza działalność mogłaby zachęcić niektóre do opuszczenia pracy na roli? O nie, nie można pozostawiać bez opieki całych zastępów tych dziewcząt nieopatrznych, ale zawczasu należy je ostrzegać, pouczać, zachęcać do pozostania w domu. Skoro nie można ich do tego nakłonić, wtedy dopiero udziela się im adresy katolickich biur i schronisk, a w pierwszym rzędzie adres naszego (ulica Wrocławska 4).

Obszerne a niezmierne pożyteczne pole działania otwiera się tu dla osób, życzliwych naszemu Towarzystwu, któreby chciały łaskawie z nami współpracować, dla Wielebnego Duchowieństwa, dla kierowników Towarzystw kobiet pracujących, dla pań naszych na wsi i w miastach.

We Francyi przy dyecezyalnych towarzystwach katolickiej opieki dworcowej przeprowadzono na prowincyi organizacye pomocnicze tak zwanych osób zaufania, a praca ich wydaje zbawienne owoce. u nas można to samo urządzić: wszakże nie brak nam osób, rozumiejących doniosłość pracy społecznej i nie szczędzących dla niej ofiar i znoju. Tych wszystkich prosimy, aby zechcieli zwrócić się do Tow. Opieki dworcowej, zapoznać się z niem dokładnie i dopomódz nam w trudnem naszem zadaniu.

Prosimy o to usilnie: wspólnemi siłami zdołamy zmniejszyć choć w części ruch emigracyjny, tak groźny dla naszego ludu, dla naszych dziewcząt, dla ich wiary i narodowości.

Zarząd Tow. Katolickiej Opieki Dworcowej.

Anna Hąciowa, skarbniczka. **M. Kobylińska,** przewodnicząca.

M. Mroczkiewiczówna, sekretarka.

KRONIKA.

— **Kupujmy u swego i wyroby swojskie.**

— **Pielgrzymka jubileuszowa do Rzymu** na uczczenie 1600 rocznicy wyswobodzenia Kościoła św. edyktem medyolańskim cesarza Konstantyna Wielkiego, wyjedzie z Poznania w poniedziałek **7-go kwietnia 1913.**

Ostatni już czas, aby chcący w pielgrzymce brać udział zgłaszali się pod adresem

Ks. Dr. Surzyński
Kosten, Bz. Posen.

Zgłoszenia po 20-tym marca uwzględnione nie będą.

— **Pokwitowanie.** Z „Wieczoru artystycznego,“ urządzonego na rzecz Towarzystwa Czytelni ludowych w dniach 3-go i 4-go lutego r. b. w Poznaniu na starej sali bazarowej przeznaczył Komitet tegoż Wieczoru czysty dochód wynoszący 4292,95 mrk. Zarządowi głównemu Towarzystwa Czytelni ludowych.

Kwitując niniejszem z odbioru 4292,95 mrk., wyraża Zarząd główny Towarzystwa Czytelni ludowych serdeczną wdzięczność i podziękowanie komitetowi Wieczoru artystycznego za wszelkie trudy poniesione i tak hojne wzbogacenie kasy Towarzystwa.

W imieniu Zarządu głównego Tow. Czytelni ludowych

Karol Sczaniecki, prezes.
Dr. Bolesław Kapuściński, skarbnik.
Poznań, dnia 28-go lutego 1913.

— **Nadzwyczajne przedstawienie walki organizmu z mikrobami chorobotwórczemi za pomocą filmów ultra-mikroskopiczno-kinematograficznych** dr. J. Comandona odbędzie się w zakładzie kinematograficznym pana Dymarskiego „Pallast-Theater“ przy ulicy Berlińskiej nr. 6 (w podwórzu) dnia 11-go marca o pół do 4-tej po południu.

Obrazy tej walki, stanowiącej istotę chorób zakaźnych człowieka i zwierząt, wzięte z życia i wykazujące walkę napastników pasorzytniczych z komórkami, a mianowicie krwinkami — przy olbrzymiem powiększeniu, a mimo to bardzo wyraźne, objaśniać będzie **dr. F. Chłapowski.**

Wstęp na przedstawienie dozwolony nie tylko członkom Towarzystwa hygieniczno-społecznego, ale każdemu chcącemu ze sposobności korzystać i to za osobną opłatą.

Ceny zwykłe kinematografowe, z powodu drogości filmów podwyższone. Bilety sprzedaje firma wyżej wskazana. Czysty dochód przeznaczony na cele Towarzystwa Hygieny Społecznej w Poznaniu.

Ze względu na wzniosły cel i na nadzwyczajną okazyę pouczenia się o istocie chorób zakaźnych, zaprasza chcących z tego korzystać, licząc na udział ich nie mały.

Towarzystwo Hygieny Społecznej.

— **Nasze banki: Bank włościański,** Towarzystwo akcyjne w Poznaniu, osiągnął w roku 1912 zysków 221 959,15 mrk. Jest to pierwszy rok, w którym Bank pracował całkowicie podwyższonym kapitałem zakładowym 1 i pół milicnowym. Bank przedłoży walnemu zebraniu uchwalenie 10 proc. dywidendy.

Zarząd stanowią: pp. Dr. Kazimierz Hącia, dyrektor. Wadysław Jerzykiewicz, zastępca dyrektora. Prezesem Rady Nadzorczej jest p. Mieczysław hr. Kwilecki, zastępcą p. Ludwik Cichowicz. — **Kasa Pożyczkowa na Wildzie.** Sprawozdanie z roku 1912 wykazuje po obu stronach znaczny przyrost. Pocieszającym szczególnie objawem, że liczba członków wzrosła do 131, których udziały wynoszą 14 270,25 mrk. Należy też podnieść, że i oszczędności deponentów wzrosły, pomimo niepokoju zeszłorocznego do 138 190,95 mrk. Wysokość pożyczek wynosiła w końcu roku 149 637,48 mrk. Przy stosunkowo nizkich kosztach administracyjnych, bo wynoszących 2851,65 mrk., zdołano po załatwieniu odpisów przewidzianych w ustawach wygospodarzyć czystego zysku w wysokości 1450,65 mrk.

Do rady nadzorczej wybrano świeżo większością głosów na lat 3 pp. M. Rutkowskiego, Hołogę i Marcina Nowaka, a p. A. Chojnackiego losem na 2 lata. — Dyrektorem Banku, którego lokal znajduje się przy ulicy Następcy tronu nr. 12,, jest p. Jan Smoliński.

— **Kasa pożyczkowa w Gnieźnie,** istniejąca 42 lata, wydała sprawozdanie za rok 1912, z którego wynika, że obrót wynosił 23 904,102 marek. Obrachunek zysków i strat wykazuje sumę 96 573 marek. Bilans wynosi 6 112,682 marek. Do dyspozycyi walnego zebrania przeznaczono 42 764 marek. Członków posiada Kasa pożyczkowa 1914. Udziały członków powiększyły się w roku 1912 o 34 184,000 mrk. i wynoszą ogółem 715 046,82 mrk. Odpowiedzialność członków powiększyła się w roku 1912 o 114 000,00 mrk. i wynosi ogółem 2 914 800,00 mrk. Kwota gwarancyjna za zobowiązania Spółki włącznie udziałów i funduszów rezerwowych wynosi ogółem 3 853 070,68 mrk. Zarząd tworzą pp.: A. Janowski, dr. W. Pawlicki i J. Nowicki. Prezesem rady nadzorczej jest pan P. Kulesza.

— **Popis uczennic i uczniów** Konserwatoryum muzycznego prof. Ludwika Broeckere odbył się w ubiegłą niedzielę na wielkiej sali Bazarowej. Na program składały się utwory Szuberta, Frontiniego, Godarda Magelliniego, Chopina, Różyckiego, Lipskiego, Beethovena, Schumanna, Szymanowskiego i Debussy.

Wszystkie popisy muzyczne wypadły dobrze, uczennice i uczniowie p. Broekerego opanowują i techniczną stronę interpretowanych utworów i wnikają w intencye kompozytorów. Po za tem należy podnieść stronę pamięciową, utwory takie jak Różyckiego, Lipskiego, Allegro z sonaty op. 10 Beethovena, polonez A-dur Chopina, utwory Schumanna grane były z pamięci i to bez wszelkich usterek nader poprawnie. Przyznajemy chętnie, że tam, gdzie jest wybitny talent, uczniowie postępują szybko i muzyka ich przyjemność sprawia słuchaczom, ale bez odpowiednich wskazówek, bez umiejętnego kierownika nawet największe talenty schodzą na manowce. To też uznajemy pracę gorliwą p. Broekerego nad powierzoną sobie młodzieżą, dbałość jego o to, aby uderzenia były lekkie i miękkie, gra czysta, technika wydoskonalona i zrozumienie literatury muzycznej. Pod ręką tak doświadczonego profesora uczniowie muszą korzystać i nabywać odpowiednich wiadomości.

— **Baczność!** Odezwa do pomocników handlowych i podróżujących w sprawie **wyborów do sądu kupieckiego.**

W dniu 10-ym kwietnia r. b. odbędą się znów wybory ławników do sądu kupieckiego.

Przeszło 400-stu pomocników Polaków nie jest zapisanych w liście wyborczej.

Listy wyborcze wyłożone będą tylko jeszcze do 12-go marca w miejskim urzędzie procederowym (Gewerbeamt) Plac sapieżyński nr. 9. I. p. gdzie je przeglądać można w godzinach biurowych, od godz. 9—1-szej przed południem i od 4—6-tej po południu.

Obowiązkiem każdego pomocnika jest, przejrzeć natychmiast listę wyborczą i w danym razie spowodować zapisanie w liście.

Jako legitymacyę należy zabrać ze sobą kartę od wlepiania znaczków lub podatkową.

Prawo do głosowania ma każdy pomocnik, który do dnia wyborów, t. j. do 10-go kwietnia ukończy **lat 25.**

Dla wygody wyborców wyłożyliśmy odpis urzędowej listy wyborczej w lokalach „Resursy,“ św. Marcin 68, gdzie ją również przeglądać można.

W razie gdyby komu czas nie dozwalał listę wyborczą osobiście przejrzeć, niechaj doniesie na pocztówce dokładny swój adres do jednego z niżej podpisanych, którzy za niego listę skontrolują.

Komitet Wyborczy Pomocników Handlowych.
Kazimierz Paluch, przew. Plac Królewski 9. **Wł. Karge,** sekr. Ul. Kozia 11.

— **Pan Stanisław Jeżewski,** powszechnie znany i poważany właściciel magazynu w Gnieźnie, otwiera w sobotę dnia 15-go marca o godz. 5-tej po południu w **Poznaniu przy Starym Rynku 60** (narożnik ul. Wrocławskiej) pierwszorzędny specyalny skład towarów krótkich, bielizny damskiej i męskiej, oraz wszelkich artykułów dla dzieci. Długoletnia rutyna kupiecka p. Jeżewskiego, w połączeniu z odpowiednim kapitałem, tudzież dobrany i fachowo wyszkolony personał, który odbiorcom udzielać będzie wyczerpujących objaśnień co do gustu i wyrobu towarów, dają gwarancyę, iż właściciel magazynu będzie w możności zadowolić najwybredniejsze wymagania swej klienteli i co do cen stawić czoło każdej obcej konkurencyi. Przedsiębiorczemu i rzutkiemu przemysłowcowi serdeczne „Szczęść Boże!“

Nekrologia.

† Ś. p. z Zapałowskich **Helena Rakowska**, zmarła w Poznaniu, dnia 24-go z. m. zupełnie niespodzianie, przeżywszy lat 71. Nieboszczka była żoną dyrektora poznańskiego Banku Przemysłowców ś. p. Feliksa Rakowskiego, który również umarł nagle dnia 24-go lutego 1891-go roku podczas walnego zebrania wzmiankowanego Banku. — **Ś. p. Bonawentura Cieszewski**, asystent aptekarski, dnia 24-go z. m. w Poznaniu w 24-tym roku życia — **Ś. p. Marya Stasińska**, długoletnia skarbniczka i bardzo gorliwa pracowniczka Towarzystwa Pomocy Naukowej dla dziewcząt polskich na W. Ks. Poznańskie, dnia 26. z.m. w Poznaniu w 78-ym roku życia. Zwłoki złożono do grobowca rodzinnego w Konarzewie pod Poznaniem dnia 1-go b. m. — **Ś. p. Jakób Norkowski**, uczestnik powstania z 1863-go roku, dnia 24-go z. m. w Brodnicy w Prusach Zachodnich, przeżywszy lat 68. — **Ś. p. Władysław Wentzel**, dnia 27-go z. m. w Ostrowie, przeżywszy lat 63. — **Ś. p. Florentyna z Trawińskich Jankiewiczowa**, dnia 2-go b. m. w Słupi, w 80-tym roku życia. — **Ś. p. z Gozdawa Jackowskich Rozalia Adamska**, dnia 27-go z. m. w Krakowie, przeżywszy lat 79. Niebczszczka, siostra zasłużonego patrona Kółek włościańskich ś. p. Maksymiliana Jackowskiego, była wzorową matką i żoną. Ujmująca w życiu codziennem i towarzyskiem, skora zawsze do poświęcenia, pełna zalet, dobroci serca i wyższego umysłu a przytem głęboko religijna, była ogólnie szanowaną i kochaną, a dom pp. Adamskich należał swego czasu do pierwszych w Poznaniu. Cześć pamięci zacnej Polce matronie. — **Ś. p. Antoni Kozłowski**, dnia 28-go z. m. w Bacharciu, przeżywszy lat 77. Pogrzeb odbył się dnia 4-go b. m. w Piaskach. — **Ś. p. Marceli Baumgart**, dnia 28-go z. m. w Cieleszynku w 34-tym roku życia. Pogrzeb odbył się dnia 4-go b. m. w Niewieścinie. — **Ś. p. Elżbieta Kędzierska**, dnia 3-go b. m. w Wirach. — **Ś. p. Lambert Budziszewski**, dziedzic dóbr rycerskich w Sowinach, dnia 2-go b. m. w Sowinach w 68-ym roku życia. Pogrzeb odbył się w Poniecu, dnia 5-go b. m. — **Ś. p. Józefa Wegner**, dnia 2-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 79. Nieboszczka przeważną część majątku ofiarowała na instytucye nasze, oraz na cele dobroczynne. Ś. p. Józefa Wegner była prawdziwą patryotką i odznaczała się niezwykłą skromnością i zaparciem się siebie. — **Ś. p. z Skorackich Weronika Wapnisiak** z Kobylina, dnia 3-go b. m. w Poznaniu. — **Ś. p. z Dobrowolskich Piechowiak**, dnia 2-go b. m. w Tarnowie pod Wągrówcem, przeżywszy lat 33. — **Ś. p. Mieczysław Werner**, dnia 3-go b. m. w Obornikach w 35-tym roku życia. — R. i. p.

— **Drezno.** Znowu świeża mogiła przypomina nam, że pracować dla siebie i innych można tylko za życia. To nam przypomina zgon Julii z Przygodzińskich Stachowskiej, której zwłoki odprowadziliśmy w środę, dnia 26-go lutego b. r. na nowy cmentarz katolicki. Za pośrednictwem „Towarzystwa Polskich Przemysłowców“ zebrała się wielka liczba rodaków ku oddaniu ostatniej przysługi, a piękne „Módlmy się“ M. Dębińskiego wykonane przez chór „Sokoła“ było prawdziwą pociechą dla uczestników pogrzebu. Niechaj poświęcenia, jakie tutejsze towarzystwa od zmarłej ku pożytkowi doznały, wyryją się głęboko w pamięci rodaków! R. i. p.!

Od Redakcyi.

— **Panu Janowi W. w Mikołowie. G. Śl.** — Bez dokładnego podania rocznika i numeru „Pracy“ niemożliwe jest odszukanie wiadomego wiersza.

— **Pani Z. D. w L.** — Wiersz M. Konopnickiej „Nie sprzedam ci ziemi“ i inne przysłane były już w „Pracy“ zamieszczone, więc nie powtórzymy; zresztą nadmieniamy, że zamieszczamy tylko wiersze oryginalne, a nie odpisane.

— **Panu L. B. w S.** — Tendencya wiersza dobra, treść patryotyczna, ale ze względu na prawo prasowe nie możemy zamieścić. Dziękujemy za łaskawą pamięć.

— **Panu O. W. w Ch. pod Skalmierzycami.** — Udaj się Szan. Pan po informacye w tej sprawie do „Agence polonaise de Presse 45 rue de Rennes Paris 6° nr. 27“.

— **Panu Janowi Wieczorkowi, przewodniczącemu Towarzystwa polsko-katolickiego pod opieką św. Wojciecha w Poczdamie.** — Bank „Skarbona“ w Berlinie przesłał do Biura „Straży“ w Poznaniu dnia 12. 12. r. z. przez konto czekowe we Wrocławiu marek 50 złożonych na Fundusz obrony narodowej przez Towarzystwo polsko-katolickie św. Wojciecha w Poczdamie. Pokwitowanie (8) było zamieszczone we wszystkich gazetach codziennych.

— **Panu Walentemu S. w O. pod S.** — 1. Szkoła nauk politycznych jest główne przeznaczona dla osób, pragnących się poświęcić dziennikarstwu i polityce. 2. Sekretarzem Towarzystwa Pomocy Naukowej im. Karola Marcinkowskiego jest p. radzca Stanisław Grossmann w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej 14 I.

— **Panu F. W. dominium Neuhof.** — Książkę wiadomą nabyć można w Poznaniu w księgarni św. Wojciecha za 5,— mk.

— **Pani Gizeli O. w Lisku (Galicya).** — Cukiernia A. Pfitznera przy Starym Rynku.

Nowe książki i treść pism.

— **Macierz Polska** wydała jako nr. 78. swej Biblioteki **Krwawe dzieje** Michaliny Mossoczowej. Jest historya powstania styczniowego ujęta w dziesięć rozdziałów (:Iskry w popiele, Pięciu poległych, Margrabia Wielopolski, Branka, Chłopi a powstanie, Obóz Langiewicza, Jak nam Europa pomagała, Wojna, Wyprawy galicyjskie i wielkopolskie, Stłumienie powstania:). Książeczkę, liczącą 65 stron druku, zdobią ilustracye. Cena 40 hal.

— **Macierz Polska** wydała jako nr. 77. swej Biblioteki **Obrazki polskie** Wandy Gizbert Studnickiej. Jest to historya polska opowiedziana przystępnie w 15-tu rozdziałach. Autorka wybrała tylko najważniejsze zdarzenia i postaci, ażeby czytelnicy mogli sobie z dziejów Polski przyswoić to, co im niezbędnie potrzebne. Po każdym rozdziale pomieszczona „czytanka,“ więc opowieść jakaś, działająca na wyobraźnię, a zdolna utrwalić w pamięci przedstawione fakty. Tekst zdobi kilkanaście rycin, dołączono też mapę Polski. Książka liczy stron 154, cena jej 1 kor.

Nkt z was nie widział piękności na oczy,
Bo piękność dotąd gdzieś jeszcze zamroczy!
Zwolna kwiat ziemi z toni wieków wzrasta;
Lecz przyjdą czasy — lecz kiedyś się zjawi
Córka człowieka i Boga-Niewiasta!
I męskie serce od śmierci wybawi!
Zygmunt Krasiński.

* * *

Zaiste do szkodzenia innym jesteśmy bardzo przemyślni i silni.
Dawid Pilchowski (z Seneki).

* * *

Dobra przyprawa czyni smak dobry. Trzeba mieć pełne usta cukru do słów słodzenia.
Wacław Sierakowski (z Gracyana).

* * *

Nadesłano.

— —**Le Traducteur, The Translator, Il Tradutore.** Są to trzy dwutygodniki ułatwiające naukę języka francuskiego, angielskiego, włoskiego i niemieckiego.

Niejeden uczył się w szkole języków tych, lecz zapomniał je, zamiast wiadomości raz nabyte rozwijać i wzbogacać. Temu celowi służą wyżej wymienione wydawnictwa. I to w sposób możliwie najprostszy i najbardziej zajmujący, podając nader urozmaicony materyał w formie czytanek i ćwiczeń z szczególniejszem uwzględnieniem wyrażeń używanych w mowie potocznej. Numery próbne tak francuskiego jak angielskiego i włoskiego wydania przesyła bezpłatnie wydawnictwo: „Traducteur“ w La Chaux-de-Fonds w Szwajcaryi.

Najnowszy kurs mody paryskiej.



Tualeta wieczorowa z żółtawej charmeuse. Nr. 1.

Podczas kiedy zdawało się, że paryscy krawcy zarzucili zamiar wprowadzenia spódnicy-pantalonowej, pozostała w kołach interesewanych nadzieja, że z czasem jednak spełnią się dawniejsze życzenia. Dwa lata minęły; zapomniano już prawie o strasznem widmie pantalonowem i otóż ukazuje się ono znowu! Moda usiłuje na nowo zdobyć palmę pierwszeństwa dla swego dzieła!

Wojna na Bałkanie i zajęcie się sprawami Wschodu, dały pochop do tego. Maskowe i kostyumowe bale na całym nieomal świecie składały się przeważnie z wschodnich strojów, a więc z obszernych szarawarów i stosownych do tego kaftanów lub tunik. Cóż więc naturalniejszego jak to, że i w wieczorkowych tualetach zaczęto naśladować trochę wschodnie ubrania i że ściąganie i drapowanie spódnic na dole stało się podobnem do szarawarów kobiet ze Wschodu? Paryżanki nie przeczuły podstępu i nie domyślały się, do czego zmierza nowa moda. Modne spódnice, zręcznie podpinane i dużo wymagające materyi, podobają im się, mianowicie po brzydkich ciasnych spódnicach, jakie noszono dotychczas.

Pierwszy krok jest uczyniony, nowa forma podoba się!

Przy sukniach z powłokami uwydatnia się forma pantalonów najwyraźniej, chociaż i krótkie suknie to samo wywierają wrażenie. Na obrazku (nr. 6) widzimy ładną sukienkę wieczorkową dla młodych panienek. Spódniczka biała, atłasowa o czarnej atłasowej szarfie i czarnym, szeroko spadającym kołnierzu z jedwabnego muślinu, otwiera się w przodku w wysokości kolana nad czarną spódniczką atłasową i jest tak wązko ściągnięta w fałdy, że zdaje się, że wcale w niej chodzić nie można. Z powodu niezmiernej ciasności sukni, której nie można wciągnąć przez ramiona, jest spódniczka w tyle zapinana, od paska aż do listwy.

U wieczorowej tualety (nr. 2) wyrównuje trochę długi szpiczasty powłok wrażenie pantalonów, wywołane przez mocno ściągnięte fałdy na dole w przodku. Jest to wspaniała suknia z różowej charmeuse; na różowej spódniczce uwydatnia się znakomicie tunika z starej t. zw. kościelnej koronki. Powłok z różowego, srebrem haftowanego brokatu jest samodzielny i niezależnie od spódnicy przyszyty. Ozdobiony ogromną czarną tiulową kokardą, spada jak nieregularnie ząbkowany ciężki kawał materyi z pod koronkowej tuniki.

Do takich pięknych tualet należą też oczywiście i piękne kapelusze. Na obrazku (nr. 4) widzimy półturban z popielatego jedwabiu, ozdobiony czarno ufarbowanym rajskim ptakiem; numer 3 zaś jest wiosennym modelem przezna-



Tualeta wieczorowa z różowej charmeuse. Nr. 2.

czonym na Rivierę; składa on się z płaskiego denka czapkowego z popielatego bastu i wysoko podniesionego na boku ronda oraz pełnej t. zw. „fontanny z



Wiosenny model przeznaczony na Rivierę. Nr. 3.

strusich piór“ w kolorze różowym.

Ale jak moda umie też być wyrozumiałą i nawet ustępstwa pewne robić, o tem można się przekonać, patrząc na obrazek pod numerem 1. Jest to suknia skromna z żółtawej charmeuse, oszywana złotem haftowaną bortą w stylu empire. Widać na niej wianki z liści lau-



Półturban z popielatego jedwabiu, ozdobiony czarno ufarbow. rajskim ptakiem. Nr. 4.

rowych. Sznurowany gorsecik z wiśniowego aksamitu leży nad paskiem i spada jako szeroka, półdługa tunika na dosyć fałdzistą spódniczkę.

Bardzo stosowną dla młodych panienek jest śliczna suknia (numer 5). Spódniczka z jedwabnej krepy koloru szam-



Suknia dla młodych panienek z jedwabnej krepy koloru szampana. Nr 5.



Biała suknia atlasowa dla młodych panienek. Nr. 6.

pana jest drobniutko plisowana i okrągła. Na nią spada żółtawa, delikatnemi różowemi kwiatami haftowana tunika z jedwabnego voile, oszyta wązkiemi paskami sobolowemi. Pufy na biodrach są podłużne i nie tak sute, jak przy kostyumach roccocco. Stanik z kwiecistego jedwabnego voile wycięty jest czterokątnie, półdługie, sobolem oszyte rękawy zupełnie są gładkie i nie przypominają niczem dążności do czegoś nadzwyczajnego, jak to na innych widać tualetach.

Paryżanka.

Obraz życia domowego panien wysokiego stanu z 15-go wieku.*)

Następujący ułamek wyjęty jest ze starego rękopisu, znalezionego w Drummond-Kastel w Anglii. Przedstawia nam, w sposób dziennika, opis całodziennych spraw Elżbiety Woodwille, wysokiego urodzenia Angielki, to jest: córki Jakubiny z Luxemburga, księżny Bedford, i Ryszarda Woodwille, drugiego jej małonka, i później hrabiego Rywersa.

„*W poniedziałek rano.* Wstałam o czwartej. Pomogłam Katarzynie doić krów; Rachela, druga dziewka, sparzyła się okropnym sposobem wczoraj w nocy, zrobiłam jej kathaplazm. Dałam schilling (dwuzłotówkę) Rubinowi, ażeby coś dla niej z apteki przyniósł.

O szóstej z rana. Znalazłam wołowe mięso nadto rozgotowane, a piwo skisłe. *Nota.* Będę musiała połajać kucharza za jego niedbalstwo; co do piwa każę w nowej beczce dziurę przewiercieć.

O siódmej. Poszłam z jejmość matką na podwórze. Tameśmy jeść dały dwudziestu pięciu ludziom, tak mężczyznom jak kobietom. Rogier został mocno złajany, że mruczał, przynosząc resztki mięsa.

O siódmej. Wyszłam za pałac z Dorotą, naszą pokojówką. Pobiegłam za młodym osiołkiem, pochwyciłam go, i wsiadłam na niego; bez siodełka i uzdeczki, kilka mil ujechałam.

O dziesiątej. Dano obiad. Jan Grey jest ładny młodzieniec, ale cóż mi potem? Posłuszna córka zależy od woli rodziców! Jan mało jadł. Kilka razy tkliwie na mnie spojrzał, i powiedział: że najpiękniejsza kobieta nie podobałaby mu się, bez słodkiego i skromnego umysłu. Spodziewam się, że mój nie jest z najprzykrzejszych. Nikt jeszcze nie miał

*) W obrazie powyższym przedstawiony jest opis całodziennego zatrudnienia panny wysokiego stanu z 15-go wieku, z którego wzór wziąć powinny dzisiejsze „emancypantki.“ Artykuł zaczerpnięty z leszczyńskiego „Przyjaciela Ludu“ (rocznika 1838) z zastósowaniem ówczesnej pisowni. — Przyp. Redakcyi.

przyczyny skarzenia się na mnie, oprócz Rogiera; ale też ze wszystkich naszych ludzi on najgorzej obowiązki swe wypełnia. Jan Grey lubi białe zęby, moje są dość piękne, a włosy czarne jak u kruka. Nie będę się chwalić, ale zdaje mi się, że Jan Grey także to uznaje.

O jedenastej. Wstaliśmy od stołu. Całe społeczeństwo wyszło na przechadzkę w pole. Jan Grey zawsze mi pomagał płoty przeskakiwać, i dwa razy czule mi rękę ścisnął. Muszę tu wyznać, że nic niemam przeciwko Janowi Grey, taki jest zręczny we wszystkich gonitwach, jak którykolwiek tylko młodzieniec z naszej okolicy. Uszanowanie jego dla ichmość państwa rodziców, jest przykładne, i nigdy też mszy świętej nie uchybił w niedzielę.

O trzeciej popołudniu. Ogień się zajął w domu biednego robotnika Robinsona. Natychmiast Jan Grey o składce dla niego pomyślił, i sam nawet dał cztery gwinee na ten dobry uczynek.

Nota. Nigdy nie uważałam słodszego spojrzenia nad to, które miał Grey w tej chwili.

O czwartej. Poszłam na pacierze.

O szóstej. Kazałam żer dać świniom i drobiazgowi.

O siódmej. Usiedliśmy do kolacyi, która była spóźniona z przyczyny przypadku Robinsona.

Nota. Pasztet z gęsi za nadto rozgotowany, a wieprzowina na węgiel spalona.

O dziewiątej. Już wszyscy śpią głęboko. Te ostatnie godziny niezmiernie nudne mi się wydawały. Musiałam pacierze na nowo zacząć, bo po raz pierwszy myśli były Janem Grey zaprzątnione. Usnęłam i śniło mi się o Janie Grey“.

W późniejszym czasie, autorka tego dziennika Elżbieta Woodwille, poślubiła istotnie Jana Grey, ale zginął w bitwie pod St. Albans, bijąc się za sprawą Lankastrów. Skonfiskowano pozostały po nim majątek, a owdowiała Elżbieta schroniła się do Grafton, do dóbr ojca swego w Northampton-Shire. — Trafiło się, że zjechał tam na łowy król angielski Edward IV., i odwiedził księżnę Bedford, matkę Elżbiety. Przebywająca u tejże młoda Elżbieta, w żałobie po mężu i łzami zalana, upadła do nóg królowi, błagając go, aby miał litość nad jej dziećmi. Wdzięk młodej wdowy i rozczulające jej nieszczęście, mocne zrobiły na królu wrażenie. Rozkochał się w niej zapamiętale i wraz z ręką swoją, koronę jej ofiarował, mimo uczynionych już zabiegów u dworu francuzkiego, dla otrzymania od króla Ludwika XI. Bony, księżnej sabaudzkiej. Wstąpiła zatem na tron angielski Elżbieta Woodwille, dzieliła z mężem rozmaite szczęścia koleje, przeżyła go i umarła roku 1485 w Southwark, gdzie była wywiezioną na rozkaz zięcia swego, króla Henryka VI.



Cześć miłości!

Niech żyje miłość! ta gołąbka biała,
Najcudniejszemi tony gruchająca,
Cicha jak anioł, jak anioł nieśmiała —
Niech żyje miłość — ta gołąbka biała.

Niech żyje miłość! ta rozkosz nadmierna,
Gorętsza od lic majowego słońca,
Niewyczerpanej słodyczy cysterna —
Niech żyje miłość — to rozkosz nadmierna,

Niech żyje miłość! ten wiosenny kwiatek,
Upajającą nasiąknięty wonią,
Rajskich rozkoszy przedsmak czy zadatek —
Niech żyje miłość — ten wiosenny kwiatek.

Niech żyje miłość! ta gwiazda ponętna,
Do piekła wstąpiłby niejeden po nią,
Nosząc już w sercu piekielnych mąk piętna —
Niech żyje miłość — ta gwiazda ponętna.

Niech żyje miłość! ten rumak stepowy,
Co z wichrem pędzi w dal z grzywą rozwianą,
Gorączką dymi jego chrap różowy —
Niech żyje miłość — ten rumak stepowy.

Niech żyje miłość! ta władczyni można,
Co daje skarby wybrańcom na wiano,
Których policzyć, ocenić nie można —
Niech żyje miłość — ta władczyni można.

Niech żyje miłość! ten piorun ognisty,
Rozniecający straszliwe pożary,
Chłodne rozumu głuszące poświsty —
Niech żyje miłość — ten piorun ognisty.

Niech żyje miłość! to orlę zuchwałe,
Tęsknie marzące o lotach bez miary,
O krwi czerwonej, chociaż jeszcze małe—
Niech żyje miłość — to orlę zuchwałe.

Niech żyje miłość! ten ptaszek płochliwy,
Którego każda się pochwyci ręka,
Niepostrzeżenie wzlata nad serc niwy —
Niech żyje miłość — ten ptaszek płochliwy.

Niech żyje miłość! to szczęście jedyne:
Gdy zgaśnie — nieraz czułe serce pęka,
Lub samobójstwa ściąga na się winę —
Niech żyje miłość — to szczęście jedyne.

Józefa Zielińska.

Z dziejów zoologii.

Nauka o zwierzętach, z grecka zoologią zwana, istniała już w bardzo odległej starożytności.

Ale wszystkie wiadomości z tej dziedziny w pewien porządek, system, któryby naukowym nazwać można, dopiero Grecy zebrali. Mianowicie Arystoteles, w IV wieku przed Chrystusem żyjący, podzielił wszystkie znane mu gatunki stworzeń na dwie klasy: krwionośnych i bezkrwistych, do pierwszych zaliczał zwierzęta, ptaki i ryby, do drugich—mięczaki, skorupiaki i owady, czyli że w rzeczywistości grupa krwionośnych obejmowała wszystkie kręgowe, grupa bezkrwistych — bezkręgowe.

System wprowadzony przez Arystotelesa przetrwał pięć wieków prawie i dopiero Pliniusz w I wieku po Chrystusie ustanowił odmienną klasyfikacyę, rozdzielając zwierzęta na lądowe, wodne i powietrzne.

Długi szereg wieków następnych niczem nie zaznaczył się w dziejach zoologii, zadawalano się przeżuwaniem spostrzeżeń i opisów, zawartych u Pliniusza.

Stan taki panował do XVI wieku.

Dopiero odkrycie Ameryki, poznanie całego świata nowych stworzeń, na starym lądzie nieznanych, rozszerzyło ogromnie ramy zoologii, wionęło ożywczem tchnieniem na przestarzałe poglądy. Zjawia się cały szereg pracowników na niwie przyrodoznawstwa: ten usiłuje wprowadzić nowe rozgrupowanie zwierząt, tamten bada budowę owadów, mięczaków, i opisuje przeobrażenia żab, a inny jeszcze, korzystając z wynalezienia mikroskopu, poznaje niedostępną do tej pory krainę najdrobniejszych organizmów. Gessner, Swammerdam i Malpighi działali w tym okresie. Tym niemniej dzięki, że się tak wyrazimy, nawałowi materyału zoologicznego, w nauce o zwierzętach zapanował nieopisany zamęt. Na szczęście w XVIII stulecia zjawia się, jako uczony systematyk, Linneusz i wprowadza zoologię na nowe tory. A chociaż podział zwierząt przez niego ustanowiony na ssące, ptaki, ziemnowodne, ryby, owady i robaki, oparty na niektórych tylko cechach wewnętrznej i zewnętrznej budowy, był do pewnego stopnia sztucznym, pomimo to miał niewypowiedziane znaczenie, bo utworzył ramy systematyczne, w które każde odkrycie czy zjawisko łatwo pomieścić się mogło. Z następców Linneusza zaznaczyć przedewszystkiem wypada Cu-

viera, którego ojcem przyjętego obecnie w zoologii układu naturalnego nazwać można. On to pierwszy, przez złączenie anatomii porównawczej z zoologią, zapoczątkował układ naturalny rozróżniając cztery typy zwierząt: kręgowe, mięczaki, stawowate i promieniste. System Cuviera uległ następnie licznym zmianom i modyfikacyom, ale bądź co bądź w zasadzie swojej jest podstawą dotychczasowych układów.

W ostatnich czasach zoologia, jak i cała nauka o przyrodzie, rozrosła się niepomiernie. Poszczególne działy zoologii rozwinęły się w specyalne gałęzie nauki, którym się dziesiątki i setki badaczów poświęcają. Wobec tego wyliczenie i wymienienie wszystkich pracowników z ostatniej doby na niwie przyrodoznawstwa jest niemożliwe, bo imię ich — legion.

Wspomnieć jeszcze należy o przedstawicielach tej nauki w Polsce. Wogóle szereg ich jest nieliczny. Na pierwszem miejscu, według chronologicznego porządku, stoi Jan Jonston, potomek rodziny szkockiej, której jedna linia, osiadła u nas. Urodził się w Szamotułach w r. 1603, kształcił się kolejno w Ostrorogu, Bytomiu i Toruniu, a następnie w Szkocyi. Po powrocie do ojczyzny obrał sobie zawód nauczyciela domowego, ale party żądzą zdobycia jaknajwiększej wiedzy, puszcza się w r. 1628 w podróż za granicę, do Niemiec, Holandyi, Wielkiej Brytanii, gdzie swojemi pracami zdobywa uznanie uczonego świata. W roku 1632 po raz drugi wyjechał do krajów zachodnich, tym razem z wychowankiem swoim Bogusławem Leszczyńskim, synem wojewody Rafała; w Lejdzie w 1634 roku uzyskał stopień doktora nauk medycznych, a zwiedziwszy następnie Francyę i Włochy, powrócił do kraju na stanowisko przybocznego lekarza na dworze Leszczyńskich w Lesznie.

Ostatnie lata przepędził we własnej majętności na Śląsku, gdzie też i życia w 1675 roku dokonał.

Wszystkie jego prace po łacinie pisane i drukowane były za granicą: w Amsterdamie, Frankfurcie, albo też Lipsku. Wydatne miejsce między jego dziełami zajmuje wielkich rozmiarów historya naturalna pod tytułem: *Theatrum historiae naturalis.*

Na kartach dziejów zoologii wiek osiemnasty zapisał imiona Czemplińskiego, Krzysztofa Kluka i Bonifacego Jundziłła, chociaż, coprawda, ten ostatni życiem i pracami swojemi zarwał bez mała pół XIX wieku, gdyż urodzony w roku 1761 umarł w roku 1847, a dzieło jego w zakresie zoologii wyszło u Zawadzkiego w Wilnie dopiero w 1807 roku pod tytułem: *Zoologia krótko zebrana* (4 części.)

Poprzednikiem Jundziłła na polu badań przyrody był ks. Krzysztof Kluk. Urodzony w roku 1739 pochodził z ziemi Podlaskiej; nauki pobierał w szkołach pijarskich w Łukowie, a następnie wstąpił do zgromadzenia księży Misyonarzy w Warszawie i poświęcił się stanowi duchownemu. Ukochawszy przyrodę, każdą wolną chwilę poświęcał jej badaniu, a pragnąc wśród rodaków rozbudzić zamiłowanie do nauk przyrodniczych układał swoje prace przystępnie, przystosowywał je do potrzeb gospodarzy wiejskich, słowem w wszystkich swych dziełach dawał przewagę celom praktycznym.

Stąd słusznie za pierwszego popularyzatora wiedzy przyrodniczej u nas jest uważany.

Oprócz podręczników dla szkół narodowych wydał między innemi w Warszawie w drukarni Pijarów dzieło czterotomowe pod tytułem: *„Zwierząt potrzebnych i pożytecznych domowych chowanie, rozmnożenie, chorób leczenie, dzikich łowienie, oswojenie, zażycie, szkodliwych zaś wygubienie.*

Umarł ks. Kluk w roku 1796 na skromnem stanowisku proboszcza ciechanowieckiego w swem rodzinnem gnieździe.

W wieku XIX za przykładem Europy zachodniej zapanowało i u nas większe ożywienie na niwie przyrodoznawstwa. Uczonych, poświęcających się temu odłamowi wiedzy, już na dziesiątki liczyć można. Imiona wielu z nich, otoczone zasłużonym rozgłosem i uznaniem wybiegły daleko po za granice rodzinnego kraju.

Źle nam...

Źle nam, lecz nawet wbrew wszelkiej nadziei,
Jeszcze pracować trzeba dla idei,
Zaczerpnąć ognia w duszy swojej własnej,
Nieść ciepło, światło, blask pochodni jasnej
I tam, gdzie płomyk tli w słabej iskierce!
Tchnąć zapał święty i rozżarzyć serce! —

Trzeba braterską dłoń podać pomocy
Tym, co uśpieni pomrokami nocy
Gnuśnieją zwolna w pośród mgieł i cienia;
Trzeba ich zbudzić, wstrząsnąć im sumienia
I tak im zbrzydzić tę martwotę ducha,
Aż w nich blask spłonie, co ogniem wybucha!

Światła, ach światła i blasku i ciepła!
W żyłach na sople krew wszystka zakrzepła...
Zapalmy w sercach sto jasnych płomieni
I mrok ponury niech się w blask spromieni,
Zapalmy w duszach sto jasnych pochodni
I bądźmy wszyscy swej Przeszłości godni!

Paula Wężyk.

Pałac Elizejski.

Następca Fallierés'a, prezydent Rzeczypospolitej francuskiej Poincaré, wprowadził się już dawno do swego nowego mieszkania, do pałacu elizejskiego.

Od r. 1873 służy przepyszny ten pałac, który twórcy i pierwsi mieszkańcy uważali za „leżący trochę daleko od miasta", za miejsce pobytu wszystkich prezydentów Rzeczypospolitej, tworzy dziś środkowy punkt wspaniałej dzielnicy przedstawiającej eleganckie i światowe życie raju nadsekwańskiego. Już samo położenie pałacu na Faubourg Saint-Honoré wiąże go więcej niż kiedykolwiek z tegoczesnem życiem paryskiem, że jednak powierzchowność jego w przeciągu kilkuset lat nie wiele się zmieniła, przeto zachował ów pociągający, szczególniejszy urok, właściwy historycznym gmachom.

Godzina czwarta. Zmierzch pochmurnego dnia zimowego obejmuje szczyty wysokich, starych drzew w parku. Czarno błękitny cień pada na szyby w oknach — zdaje się, że nadeszła chwila, że wszyscy, którzy tu niegdyś mieszkali, łączą się, aby ożywić puste aleje parku i lekkim krokiem przejść się po miękkich dywanach w ciemnych salonach...

Dużo ich tu było — i mieszkańców i gości i warto wspomnieć niejednego lub niejedną z dalekiej przeszłości, którzy w tych pokojach żyli, cierpieli, marzyli i radowali się.

Hrabia d'Evreux, Henryk de la Tour d'Auvergne kazał sobie dom ten zbudować. Że jednak nie miał dosyć pieniędzy, przeto musiał „twardy zgryźć orzech" i ożenić się z panną niższego wprawdzie pochodzenia, lecz bardzo zato majętną. Żoną jego została więc panna Crozat, córka jednego z najbogatszych bankierów, i za pieniądze ojca Crozata wybu-



Lawina górska.

dowano ów wspaniały pałac. Hrabiowski zięć przemyślnego finansisty przepędził całe życie na upiększaniu swej rezydencyi, a gdy ją w r. 1753 zostawił swemu siostrzeńcowi, księciu Turenne, nie miał tenże nic pilniejszego do zrobienia jak to, że sprzedał pałac za 730000 funtów markizie Pompadour. I tak zamieszkała tu sławna przyjaciółka Ludwika XV, mająca szczególniejsze upodobanie w pięknych pałacach — pałace jej Crécy i La Celle, posiadłości w Wersalu, Compiégne i Fontainebleau, mieszkanie w pałacu królewskim, którego okna wychodziły na cudne i sławne klomby kwiatowe Lenôtra — wszystko to nie wystarczało chciwej tej kobiecie. W przeciągu jednego roku wydała 95 000 funtów na upiększenie nowego mieszkania, i zaledwie pierwsze piętro pałacu Elizejskiego urządzonem zostało podług jej życzenia, kazała nowych sprowadzić artystów i robotników, nowe powstawiać meble i ściany pokryć gobelinami, które jej król przysłał z Wersalu.

Pomimo najrozmaitszych obrażających epigramatów i karykatur, odnoszących się do dumnej markizy, kończyła ona spokojnie raz zaczęte dzieło, i z całej Francyi zjeżdżali się ludzie, aby podziwiać wspaniały pałac i przepyszne ogrody. Ale król, który się wiecznie nudził, zażądał, aby markiza wróciła do Wersalu i nie chcąc stracić przywiązania jego i swego na nim wpływu, ukazała się pani Pompadour, pomimo choroby i zmęczenia, piękna, strojna i wesoła na dworze królewskim. Dnia 15 kwietnia r. 1764 umarła i przekazała w testamencie piękny pałac w Faubourg Saint Honoré hrabiemu Prowancyi.

Odtąd zmieniali się często mieszkańcy pałacu. Służył on za pobyt posłom, bogatym finansistom, jak n. p. sławnemu Beaujon'owi, który dzięki swemu olbrzymiemu majątkowi zapełnił sale kosztownemi meblami, obrazami i gobelinami. Na balach pana Beaujon'a bawiono się w każdym razie lepiej, jak na przyjęciach pana Fallières'a. Wytworny pałac Elizejski stał się przybytkiem zabawy i wesołości — drugiego takiego w całej nie było Francyi. Piękne kobiety zdobiły wspaniałe salony, huczna muzyka rozbrzmiewała po całym pałacu. Ale lata mijały i Ludwik XVI kupił ów pałac od bankiera na to, aby go zaraz znowu sprzedać księżnie Bourbon.

Od tej chwili nazwano go oficyalnie pałacem Elizejskim.

Podczas rewolucyi, która ogólny wywołała przewrot, zamieniono wspaniały ten pałac na publiczny lokal balowy. W ogrodach ustawiano budy jarmarczne, i tam, gdzie się przechadzała dumna markiza Pompadour, tłoczył się „plebs",

a raczej same szumowiny publiczności paryskiej, aby kupować piwo i limoniadę, słowem pałac Elizejski zamieniony został na „Hameau de Chantilly" t. j. na miejsce zabawy dla ludu.

Na huśtawkach i karuzelach krzyczały i hałasowały tłumy żądne krwi, a z feudalnej tej rezydencyi zrobiono „établissement," przynoszące ogromne dochody.

Ale wszystko na tym świecie musi się raz skończyć. Po kilku burzliwych latach wrócił pałac znowu w posiadanie korony, t. j. Napoleona. Wielki cesarz Francyi powziął szczególniejsze upodobanie do tego pałacu; cisza, panująca w obszernych grodach, pełnych prastarych drzew i barwnych kwiatów, podobała mu się, i zawsze, gdy szukał samotności i spokoju, wypoczywał tutaj po trudach i troskach wojennych. Gdy w r. 1809 postanowił rozwieść się z Józefiną, ofiarował jej pomiędzy innymi, także i Pałac Elizejski.

„Chciałbym, abyś tam mieszkała, bo wiesz, jak cię kocham", pisał jej w r. 1810, w późniejszym zaś liście taki znajduje się ustęp:

„Kazałem rzeczy twoje przenieść do pałacu Elizejskiego; bądź spokojną i zadowoloną i miej zaufanie do mnie."

Później, gdy ciężkie nadeszły czasy, mianowicie po bitwie pod Waterloo, zabawił Napoleon raz jeszcze kilka godzin w pałacu Elizejskim, po jego abdykacyi wprowadzili się tam inni mieszkańcy.

Potem następowały wypadki historyczne bardzo prędko po sobie, i od czasu, gdy Eugenia de Montijo, piękna narzeczona Napoleona III, bawiła tam kilka dni z matką, już w nim żadna nie zamieszkała koronowana głowa.

Od r. 1873 został ów pałac rezydencyą prezydentów Francyi.

I teraz znów mieszka tam nowo obrany prezydent Poincaré z piękną żoną. Co przyszłość im przyniesie? Fallières uchodził za skąpca, o żonie jego mówiono, że nawet służbie skąpiła na jedzeniu. Ale Poincaré ma być prawdziwym „grand seigneur'em", któremu o kilka tysięcy franków nie chodzi! Może wróci pałac Elizejski do dawniejszej świetności. Może znów wesołe dźwięki muzyki zabrzmią w wspaniałych salonach i piękne kobiety przechadzać się będą po alejach ogrodu! *P.*

Nieszczęście tylko temi drzwiami wchodzi, które mu otwieramy.

* * *

Korzystajmy z zasług naszych przodków i naprawiajmy ich błędy, a w rękach mamy przyszłość naszych dzieci.

* * *

Na ludową nutę.

A nie prośże mię dziewczyno,
Nie będę ci grać!
Łzy mi jeno cięgiem płyną
Na te struny na skrzypkowe,
Cięgiem smutki budzą nowe —
Jakże ci mam grać?

Jak te wierzby dwie nad wodą;
Jak te wierzby wej,
Co rozmowę z sobą wiodą,
Byłem z tobą tak ci i ja,
Ino wszystko, wszystko mija,
Pędzi naprzód, hej!

Chciałem ciebie, oj dziewczyno,
Nie chcieli cię dać!
Tera w smutku dni mi płyną,
Twarz się śmieje, serce płacze,
Trza na dole iść tułacze,
Jakże ci mam grać?

W którą stronę spojrzę ino,
Wszędzie ty i ty...
Oj kochałem cię, dziewczyno,
Szedłbym z tobą na niedole,
Przez ciernistę szedłbym pole,
Wszędzie gdzie i ty...

Jak ten wicher, rozełkany,
Co kaś leci w dal,
Takim smutny, zadumany,
Łzy mi płyną, łzy mi cieką,
Kaśbym ino szedł daleko,
Tak mi czegoś żal!...

J. Trawiński.

Z dziedziny hygieny.

Jak żyć, aby żyć.

Czytamy niejednokrotnie notatki w gazetach o stuletnich lub straszych jeszcze osobach, które, pomimo tak późnego wieku, zachowały w pełni władze umysłowe i w pewnej mierze siły żywotne.

Już sam fakt, iż o takich osobnikach wspominają pisma, dowodzi, że to wypadki odosobnione, rzadkie.

I nie przyjdzie nam nawet na myśl, że tysiące umierają młodo, w sile wieku i nikt o tem nie pisze.

I nie przyjdzie na myśl, co jest przyczyną tej ogromnej ilości zgonów przedwczesnych, w stosunku do małej ilości żyjących starców stuletnich.

A jednak na dnie tej kwestyi tkwi głębokie zagadnienie społeczne, którem interesować się powinniśmy.

A interesować się powinniśmy nie tylko dla osobistej korzyści, wskutek przywiązania do życia i w celu możliwego przedłużenia go, lecz i w celu, który posiada ogromne znaczenie dla uzdrowienia ludzkości,a mianowicie na drodze dążności do osiągnięcia jaknajwiększego poziomu etycznego i otrzymania jaknajwyższego rozkwitu ideałów humanitarnych.

Postarajmy się to, co wyżej powiedziane, w krótkich słowach wyjaśnić.

Bezwarunkowo okres życia naszego jest zależny od wielu czynników, w ogromnej swej części, do których dostosować się musimy.

Wszak twierdzić możemy z całą pewnością, że mieszkaniec wsi, suchej, lesistej okolicy, posiada daleko więcej szans długiego życia, aniżeli osobnik, zmuszony zamieszkiwać w większych skupieniach ludzkich, które nazywamy miastami.

To samo możemy twierdzić, gdy weźmiemy pod uwagę rodzaj zajęcia.

Robotnik fabryczny, pracujący, bądź co bądź w dusznej atmosferze, oddychający wyziewami z rozmaitych preparatów chemicznych, pracownik, przykuty przez szereg godzin dziennie do biura w wiecznie zgarbionej pozycyi, biedna najemnica, utrzymująca się z prania po domach, lub u siebie, osobnicy zobowiązani do pracy nocnej i t. p., mają daleko mniej szans do długiego życia, aniżeli pracujący na świeżem powietrzu, fizycznie, w swobodnej, nie krępującej rozwoju ciała odzieży.

Również to samo należy zastosować do środków odżywiania, jakiemi rozporządza ta lub inna kategorya współtowarzyszy naszej wędrówki życiowej, pominąwszy już względy dziedziczności, co do których jesteśmy bezsilni.

Wszystkie wszakże, wyżej przytoczone powody, a nawet wiele innych, są od nas niezależne — wina to istniejącego ustroju społecznego i warunków, w jakich zmuszeni żyć jesteśmy.

Lecz zarówno w normalnych warunkach znajduje się wiele przyczyn ubocznych, które wywierają decydujący wpływ na skrócenie naszego życia.

Na pierwszym planie postawić należy przyczyny natury psychicznej, którym wskutek słabości charakteru łatwo dajemy sobą powodować.

Do tych należą między innemi: niepowodzenia w życiu, przejścia rodzinne, choroby, lub zgony blizkich nam osób, smutki moralne i wiele innych. Częstokroć nawet nagła, a niespodziewana radość raptownie skraca pasmo dni dalszych.

Dalej — wielu z nas ulega zgubnym nałogom, jak n. p. alkoholizm, karciarstwo, rozpusta i t. p.

Do tej kategoryi należy zaliczyć i chętne uczęszczanie przez nas, poza go-

dzinami pracy, do rozmaitych zakładów, począwszy od zwyczajnego szynku, skończywszy na kabaretach (nawiasem mówięc te ostatnie gorsze są od pierwszych, tamte bowiem zamykają się o 10 wieczorem, kabarety — o 3 rano i później) — wszędzie sami szukamy powodów, aby skrócić sobie życie. Pominąwszy duszną atmosferę tych zakładów, należy przyjąć pod uwagę, że tracimy w nich czas, przeznaczony na sen, na wypoczynek aby z nowemi siłami stanąć do pracy.

A jak takie życie oddziaływa na nas w kierunku moralnym i kulturalnym, nie potrzebujemy chyba dawać odpowiedzi.

Trudno wyczerpać wszystkie przyczyny i argumenty, które możnaby przytoczyć na korzyść naszego twierdzenia, iż istnieje wiele przyczyn ubocznych, które skracają nam życie, a są w większości wypadków zależne od nas samych, i zwalczanie ich ma szerokie społeczne znaczenie, gdyż przyczyniłoby się do uzdrowotnienia ludzkości na drodze podniesienia ogólnego poziomu etycznego, osiągnięcia wysokich ideałów humanistycznych — czyli zwalczania istotnego, prześladującego nas zła: zmienienia warunków, w jakich żyjemy, lub żyć jesteśmy zmuszeni, na lepsze i sprawiedliwszę.

Dążyć więc powinniśmy do unicestwienia ubocznych przyczyn, skracających nam życie w imię wzniosłych idej społecznych, jeśli potrzebę urzeczywistnienia ich odczuwamy, lub jeśli jesteśmy małostkowymi filistrami, kochającymi własne życie — w celu przedłużenia go do wiekowej starości.

Nawet i tak podziemnie prowadzona akcya nie jest do pogardzenia dla ostatecznego rozwiązania kwestyi ogólnej i społecznej.

Krwawe kąpiele.

(Z legend słowackich.)

Na prawym brzegu Wagu, niedaleko Nowego Miasta, w pięknej ziemi Słowackiej, leży posiadłość Czachlice. Blizko kwadrans drogi od zabudowań tej posiadłości, na wysokiej, wielkiej skale, leżą zwaliska starego zamku, tegoż co i posiadłość miana. Tak, jak wszystkie wogóle ruiny przeszłości, pokrywające obficie ziemię Słowacką, mają one swą romantyczną legendę, a ile prawdy się na jej dnie kryje, tego trudno dokładnie dociec. Zamek przechodził różne koleje losu. Król Zygmunt węgierski darował go niegdyś wraz z okolicznemi włościami jednej z linij starodawnej rodziny Orszaghów. Po wygaśnięciu rodu właścicieli zamku, przeszedł on w posiadanie królewskie z powrotem. Cesarz Maksymilian II, stając się właścicielem, wymienił z Urszulą Kanizay gród ten na zamek Kanizę. Urszula wyszła zamąż za sąsiada Nadazdego, a syn jego, Franciszek, zostawszy właścicielem zamku, pojął za żonę Elżbietę Batory, znaną z urody, lecz jednocześnie z niezwykłego i wstrętnego serca. Elżbieta miała nadzwyczajne starania o krasę swego ciała, ale spostrzegła ze strachem, że ciało to z biegiem lat wdzięki traciło.

Ażeby zapobiedz temu, za poradą dwóch wiedźm i wróżek, które przy sobie trzymała, zdobyła się na krok, w swojem przekonaniu stanowczy, krok niegodziwy, który miał świeżość sił i piękność skutecznie podtrzymywać.

W głębokich lochach zamku przygotowała jasno oświetlone komnaty, a w jednej z nich marmurową wannę dla siebie. Do tych komnat sprowadzała przy pomocy dwóch powyżej wymienionych czarownic i sługi, zwanego Ficko, najpiękniejsze z okolic dziewczęta. Były to wszystko dziewoje, którym zaledwie, po wyjściu z dziecięcego wieku, pierś życiem wzbierała. Każdą z nich w umówiony dzień Elżbieta sprowadzała w tajemnicze komnaty, przy pomocy wróżek, rozbierała do naga, a nasyciwszy wzrok swój pięknem młodzieńczego ciała, wytaczała krew z niewinnego łona. Z krwi tej niewinnej sprawiała sobie kąpiele, które miały służyć skutecznie ku odświeżeniu starzejących się wdzięków. Nie pomagały płacze i prośby ofiar, błagających na kolanach o dni życia. Im ofiara była świeższą i żywotniejszą, tem



W. A. Bougerau.

Z krzyżem u Krzyża.

wstrętna walka uciążliwszą się stawała, a zawsze kończyła się zwycięstwem oprawców.

W ten sposób „Batorka“ na czachlickim zamku odebrała światu życie i krasę trzystu młodziutkich dziewic. Kiedy pewnemu młodzieńcowi w Czachlicach ukochana dziewczyna zginęła, on, jak inni, nie poddawał się jedynie rozpaczy i wspomnieniom. Wiedząc, iż ukochana była wezwana na zamek i przeczuwając, iż ztamtąd nie wróciła, zakradł się pewnego razu do piwnic zamkowych, pewny, iż coś się dowie. Ukrytemu przedstawił się straszny widok. Przez otwór w murze widział krwiożerczą scenę i męczarnię jednej z młodziutkich ofiar, broniącej się bezradnie wampirom. Bezbronny, nie mógł przeciw tej ohydzie nic zaradzić. Kiedy najbliższa noc nadeszła, wydostał się młodzieniec z ponurego zamczyska i przybył do najbliższego krajowego sądu, któremu przewodniczył Jerzy Thurs. Z wyrazem oburzenia przedstawił palatynowi rzecz całą, prosząc o sprawdzenie. Przeprowadzone śledztwo wykryło, przy pomocy wziętych na męki sług, całą nagą prawdę. W studni głębokiej, wykopanej w lochach, poznajdowano szkielety niewieście, przysypane ziemią.

O karze, jaka spotkała zabójczynię tylu pięknych, młodych dziewic, krążą dwa podania. Jedno mówi, że po ciężkiem trzyletniem więzieniu zmarła; inne zaś głosi, iż żywcem zamurowaną została w miejscu, gdzie stała wanna, przeznaczona na kąpiele.

Do dziś dnia smutna powyższa opowieść krąży między ludem słowackim, który opowiada ją ze zgrozą zwiedzającym gruzy murów zamku czachlickiego.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 9-go marca 1440 posłowie węgierscy przed Władysławem III. — 1508 rozproszenie Wołochów nad Dniestrem. — 1589 książę Maksymilian wypuszczony z niewoli. — 1630 śmierć Mikołaja Wolskiego, fundatora Kamedułów na Bielanach.

Dnia 10-go marca 1424 Zawisza Czarny podejmuje u siebie królów bawiących w Krakowie. — 1529 śmierć Janusza, ostatniego księcia mazowieckiego. — 1637 śmierć Bogusława, ostatniego księcia pomorskiego.

Dnia 11-go marca 1646 śmierć hetmana Stanisława Koniecpolskiego. — 1797 przybycie do Petersburga Stanisława Augusta.

Dnia 12-go marca 1582 wjazd Stefana Batorego do Rygi. — 1656 rozbicie Szwedów pod Jarosławiem.

Dnia 13-go marca 1600 wcielenie Estonii do Polski.

Dnia 14-go marca 1585 zerwanie sejmu przez Grudzińskiego i związek na króla. — 1611 Rosyanie pobici pod Smoleńskiem. — 1633 synowie Zygmunta III. składają przysięgę wierności. — 1801 śmierć Ignacego Krasickiego. — 1812 tajnym traktatem Austrya przyrzeka zwrócić zabór Polski.

Dnia 15-go marca 1034 śmierć Mieczysława II. — 1412 przymierze z Węgrami w Lubomli. — 1517 zwołany sejm do Włocławka. — 1794 powstanie jenerała Madalińskiego. — 1818 pierwszy sejm w Polsce kongresowej. — 1831 odezwa jenerała Dwernickiego do obywateli zabużańskich. — 1849 jenerał Bem zdobywa Hermanstadt.

Humor i satyra.



— Słyszałem, żeś pod pantoflem u żony, jak ci zagra, tak tańczysz.

— E! i ona musi tańczyć jak ja zagram.

— A to jakim sposobem?

— No, jak gram na fortepianie, to żona tańczy.

* * *

Z zoologii.

Nową prawdę wam odkrywam,
Zacni starcy i młodzieży:
Człowiek, wbrew twierdzeniom wiedzy,
Do wszystkich *działów* należy.

Ten, kto lubi piwo, wódkę,
Wino albo grog gorący,
Zwiedza knajpki i piwiarnie,
Jest to panie człowiek *ssący*.

Gdy studyuje śpiew, gdy pieśnią,
Chce wywalczyć kąsek chleba,
Podobnego jegomości
W poczet *ptaków* wliczyć trzeba.

Gdy się kłania zamożniejszym,
Bije czołem pankom wszędzie,
Zjada za to kolacyjki.
Ten napewno *płazem* będzie.

Zaś ci, co w rozbracie z światem,
Wiodą tryb zamknięty taki,
Że prąd życia bez nich płynie,
Są wyraźnie *skorupiaki*.

* * *

Na wsi.

— Mężu! rzekła mocno rachunkowa magnifika — przyjmuj sobie kogo chcesz, z gości w niedzielę, nie mam nic przeciwko temu, od tego jest wieś, ale tych dwóch cyklistów, którzy przyjeżdżają do ciebie, stanowczo zabraniam przyjmować.

— Zmiłuj się, żoneczko! to takie porządne chłopaki.

— A tak! porządne chłopaki! Jak się wytrzęsą na tych swoich kołach, tak później przy obiedzie niczego im nigdy nastarczyć nie można.

* * *

Sprytny ojciec.

Młody Goliński zgłasza się do wierzyciela z oświadczeniem, że ojciec jego długu uiścić nie może, gdyż jest chory i dlatego przysyła go, aby się ułożył.

Wierzyciel: Jakież warunki proponuje mi pański ojciec?

Młody Goliński: Ojciec przesyła mnie dlatego, że, jak wiadomo, dzieci zawsze i wszędzie płacą tylko połowę.

* * *

Objaśnienie.

Piszą w gazetach o jakichś „idyotach“, powiedz mi pan, czy to także ludzie?

— Naturalnie, że ludzie — tacy jak i pan...

* * *

Szczwany lis.

—Mojsze, dawaj mi za te kobyłe 200 mk.

— Ty, Icyk, miszygene, jabym ci nie dał ani 50 marek.

— Co ci to szkodzi, zrób to dla mnie, ja jutro na jarmarku w Swarzędzu będę mógł się przysięgać na żonę i dzieci, że mi wczoraj dawali 200 marek, a ja nie wziął pieniędzy.

* * *

W restauracyi.

Gospodarz uśmiechnięty zbliża się do gościa! Jakże panu dobrodziejowi smakuje befsztyk?

— Oho! — odpowiada gość — niezły. Ale strasznie mały w stosunku do swego wieku.

* * *

W kantorze żydowskim.

— Słuchaj, Izydor! czego ty się tak długo namyszlasz?...

— Ty, Leosz, potrzebujesz wiedzieć, co ja jestem zawsze taki — wolnomyślny.

* * *

Fraszka.

Mówisz tedy, filozofie:
— Niech ciekawość cię nie dręczy,
Do tajnego kufra życia
Śmierć ci bowiem klucze wręczy.
— A na dyabła, — pytam ciebie,
Klucze mi się wtedy zdadzą,
Kiedy kufra jestem — pewny —
Nigdy mi już nie oddadzą?

* * *

W salonie.

— Pani głos prześliczny! Słuchał bym go całemi dniami...

— Pomów pan z mamą...

* * *

Komplement.

— Wiesz pan co? Sprawiasz pan takie na mnie wrażenie, że kiedy patrzę na pana, to mi się moi pacyenci przypominają.

— Jakto? nie rozumiem pana?... czem pan jesteś?...

— Weterynarzem!

* * *

Zasada.

Lepiej używać, niż marzyć, śnić —
Oto jest wzniosła zasada:
Lepiej być brzuchem, niż głową być,
Głowa się męczy — brzuch zjada.

* * *

Zemsta.

— Ten stary X. ma widocznie teraz obszerną korespondencyę, skoro pan codziennie chodzi do niego?

Listowy: Ale gdzie tam! pokłócił się ze mną i teraz pisze codzień do siebie kartę pocztową tylko dlatego, żebym musiał włazić na czwarte piętro.

* * *

Prawdziwe świadectwo.

Jegomość jakiś spotyka na ulicy małego żebraka, rzewnie płaczącego.

— Co ci się stało, mały? — zapytuje miłosierny jegomość.

— A bo... bo... proszę pana, ten chłopak co tam pędzi, ukradł mi papier...

— Jaki papier?

— Papier, w którym było zaświadczone, jako ja jestem głuchoniemy od urodzenia...

* * *

Dobrze się odciął.

— W tem nowem ubraniu wyglądasz naprawdę jak... poganiacz bydła.

— Racya, ale to złudzenie jest jeszcze większe, gdy ty przedemną stoisz.

Ach! tylko cnota, sumienie czyste,
Które zachowasz w swem łonie,
Te dadzą spokój, szczęście wieczyste,
Tu w życiu — i tam... po zgonie.

Franciszek Marzec.

* * *

Wielki w ludzi tłumie, kto zaparłszy się swoich — innych łzy rozumie.

Zagadka.

Nadesłała pani Paula Wężyk, redaktorka „Naszego Kącika.“

Drugiego i pierwszego któż z nas mile wspomni?
Wszakże z jego to woli wygnańcy bezdomni
Szli pędzeni sromotnie w dalekie krainy,
Aby cierpieć, umierać za wielkie swe czyny...
Choć dziś złudnych obietnic błyśnie **pierwsza** [**druga**
I strzeli w górę gwiazdą, jak świetlana smuga,
Nie wierzmy obietnicom, dawanym w potrzebie,
Bo nam inną pochodnią przyświeca Bóg w niebie!
A więc, przed **pierwszą-drugą** postawmy [literę:
Oto hasło jest nasze, wszystkie chęci szczere
Zespolić w niem winnyśmy, czy starcy, czy [dzieci,
Bo ono wybawienia jasną gwiazdą świeci!
Niechaj **wszystka** kochana, w rodzinny dom [wchodzi
I skupia siły starszych i przyświeca młodzi!

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 13-go marca włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dokładne rozwiązanie powyższej zagadki.

Szan. Czytelników prosimy, aby dla zaoszczędzenia opłaty pocztowej przesyłali rozwiązania zagadek **tylko na pocztówkach.**

Rozwiązanie wypełnianki z numeru 8-go.

1	L	i	k	o	P	o	d	j	u	m
2	A	s	t	r	O	n	o	m	j	a
3	N	o	ż	o	W	n	i	k	ó	w
4	G	i	e	o	S	k	o	p	j	a
5	I	d	e	n	T	y	c	z	n	y
6	E	m	i	s	A	r	j	u	s	z
7	W	e	n	a	N	e	j	u	s	z
8	I	l	u	m	I	n	a	c	j	a
9	C	z	e	r	E	m	o	s	z	e
10	Z	a	d	a	C	z	n	I	k	i

Trafne rozwiązanie nadesłali do dnia 27-go lutego włącznie następujące osoby: Janek z Poznania z pod Góry Przemysława, Jaroch Czabański z Zaniemyśla, ks. Jan Augustowicz z Moszczan w Galicyi, Ludwik Tatkowski z Łąki w Galicyi i Józef Malinowski z Jabłonkowa na Śląsku austryackim.

Nagrodę otrzymali: pp. Jaroch Czabański z Zaniemyśla, ks. Jan Augustowicz z Moczan, Ludwik Tatkowski z Łąki i Józef Malinowski z Jabłonkowa.

Nie na papierze rozum znać, ale na uczynkach. Głupić to a nie mądry, który w języku, albo w głowie radę chowa, a do dzieła ręki nie przykłada.

Piotr Skarga.

* * *

Jak rola tylko wtedy zrodzi owoc, gdy jest pokrajana pługiem i motyką, tak i serce ludzkie pługiem boleści rozdarte, owoc cnót zrodzić może.

* * *

Szczęśliwy! Gdy go świat rzuca, zdolny jest postrzedz się i za opuszczającym nie goni.

Jan Śniadecki.

* * *

Szlachetność jest cudowną wiosną,
Dojrzałych lat...

Nasz kącik.

II. Zagadka historyczna.

„Hej, zdobyć wąwóz!" Padł rozkaz surowy...
Choć tam morderczy ogień zieje w koło,
Popędził oddział do czynu gotowy
I patrząc śmiało, nadstawiał pierś, czoło.
Świstały kule, ryczały armaty,
„Marsz, marsz" — hymn cichy dodawał otuchy,
Biegli Polacy i pomimo straty,
Chociaż padali tak gęsto, jak muchy,
Rwali wciąż naprzód, pod górę na szczyty.
Zcichły armaty, padli kanonierzy,
Już zagrzmiał okrzyk: — „Hej, wąwóz zdobyty"
A jeszcze w cud ten zda się nikt nie wierzy...
Znaszże nazwiska tych, co hen po świecie,
Wsławili Polskę? — To — bohaterowie...
Więc, jeśli czasem drogie łanie dziecię,
Że Polski nie ma, ktoś ci z śmiechem powie,
Odpowiedz śmiało: „Kraj, co wydał ludzi
Gotowych podjąć najtrudniejsze dzieła,
Nie padnie nigdy i z snu się obudzi
I „jeszcze, jeszcze Polska nie zginęła!"
Napiszcie dzieci, gdzie była ta bitwa,
W sercach wyryjcie nazwiska żołnierzy,
Do Boga za nich niech płynie modlitwa
I — w lepszą przyszłość niech z was każde wierzy!

P. W.

* * *

Odpowiedzi.

Szarotka i Bławatek z M. Najmilszym kwiatkom serdecznie za liściki dziękuję! *Ktoś* tak się kiedyś obwiniał, że nie ma wytrwania, a oto postępy małych uczenniczek dowodzą o wielkiej cierpliwości i dobroci miłego kwiatka. Niech ci to Pan Bóg nagrodzi. Cieszę się, że powiastka: „Z przed pół wieku tak cię zaciekawia. Marysia i Zosia Pętkowskie. Kuśnierz. Bardzo się zmartwiłam się wiadomością o twej chorobie. Marysienko, ale pocieszył mnie mały paluszek, szepcąc, jak grzeczną i cierpliwą byłaś wówczas. Pewnie Bozia w niebie bardzo cię za to kocha! Ho, ho, co za postęp, Zosienka teraz bardzo ładnie pisze, ucieszyłam się z liściku i z tego, iż mój wierszyk w „Opiekunie Dziatek" o Zosi i Burku, taką ci radość sprawił. Widzisz, jak ja to wiedziałam, że twój Burek łakomy. Czy się nie wstydził, że mali czytelnicy dowiedzieli się o jego wadzie? Śnieżka z nad Prosny. Podwójnie miły mi twój liścik: dlatego, że dobrze pisany i że pochodzi z nad ulubionej rzeki i okolicy, w której dotychczas drzemały jakoś dzieci. Może wiosenka je obudzi? Cieszę się, że uczysz się wierszyka o Kościuszce; pisząc go dla „Kącika", myślałam właśnie, iż pragnęłabym, aby go jaknajwięcej dzieci nauczyło się na pamięć. Fiołek. Babin. Nie, mój miły, nie nazwę cię Fiołkiem alpejskim, zdaje mi się, że mniejbym cię wówczas kochała. Wzrosłeś przecież na naszych niwach, a że drugi kwitnie we Wrześni, to nic nie szkodzi! Powiada przysłowie, że od przybytku głowa nie boli, więc i ja mogę mieć dwa fiołki. Liściku, o którym wspominasz, nieodebrałam, przecież byłabym ci odpisała, ten za to tak dobrze napisany, że nic nie potrzebuję poprawiać. Fiołek. Września. Dziękuję ci kochanie za śliczną kartkę, wasze miasteczko znam trochę, gdyż raz w przejeździe wstąpiłam tam na kilka godzin, ale wówczas jeszcze ani „Kącika" ani Fiołeczka na świecie nie było. Sokół z nad Czarnej Wody. Winszuję ci z całego serca, iż pokonałeś trudności łaciny! Niechże i te drugie przedmioty umocnią się w główce! Czy zostajesz nadal nad Czarną Wodą, czy też pofruniesz nad jezioro, do cioci? Skowronek. Berlin. Nie ma dla mnie większej radości ,jak kiedy nagrodą trafię dzieciom do gustu, to też cieszę się bardzo, że ci się książeczka podobała. Nie martw się, iż ostatni z wszystkich nagrodzonych o tem mi napisałeś! Jeszcze od Helci Cichej z Neukölln i Trójki z Osieczny także ani słówka nie odebrałam, przypuszczam jednak, iż to nie dlatego, aby im się książeczki nie podobały, lecz, że przed Wielkanocą mają dużo do nauki. Napisz mi mój miły Skowroneczku, co teraz będziesz robił, do jakiego zawodu rodzice cię przeznaczą? Życzę ci z całego serca powodzenia w życiu pracy! Niech Duch św. natchnie Ojca, aby ci wybrał zajęcie, które z zamiłowaniem i sumiennie spełniać będziesz, a pamiętaj mój miły, że nietylko dla chleba należy pracować, lecz i dla współrodaków, dla Ojczyzny! Wszystkim miłym dzieciom śle uściśnienia przyjaciółka z „Kącika".

* * *

Prawdziwy obrazek z przed pół wieku.

(Ciąg dalszy.)

Mama ściskała Anię i całowała: Moje maleństwo, nie zniosłabyś tych strasznych mrozów i niewygód, umarłabyś — i pomyśl o rozpaczy mojej, tatusia i Stefka, gdybyś ty, nasza pociecha, odeszła od nas na wieki... Zostaniesz w kraju, tu modlić się będziesz i prosić Bozi o nasz powrót, a twoje liściki będą dla nas najjaśniejszym promykiem! I tak nastąpił wkrótce straszny dzień rozstania z mamą, służbą i Lipówką. Już od samego rana biegała Ania i całowała nietylko ludzi, lecz każde niemal drzewo w ogrodzie, każdy przedmiot w domu, a w ślad za nią — gonił strwożony Burek. Po obiedzie przyjechał p. S., zabrał Anię, Burka, lalkę, książeczkę do nabożeństwa i kuferek z bielizną i sukienkami. Zaczęło się teraz dla Ani wśród nowego otoczenia, inne życie...

. . . .

Państwo S. mieli dwie córeczki, obie starsze od Ani: dziewięcioletnią Lucię i siedmioletnią Kocię. Były to dziewczynki silne i duże, a Ania sześć latek licząc, wyglądała zaledwie na czteroletnie dziewczątko. Do pokoiku dziewczynek wstawiono łóżeczko dla Ani, ale już po kilku dniach Kocia zaczęła się skarżyć, że nie może spać, bo Ania przez sen rozmawia. Odtąd słano Ani na noc na maleńkiej, wązkiej kanapce, w wielkiej, pustej sali, zdala od wszystkich. Ściany tego pokoju były starym zwyczajem obite makatą, na tle której wymalowane były różne obrazy. Tu stada strasznych, dzikich zwierząt, tam goniąca je sfora psów, tu znowu rycerz pędzi na koniu, a pachołek dmie w róg. — Z powodu starości obicie nie przylegało szczelnie do ściany i gnieździło się za niem tysiące myszy. Z nastaniem nocy zaczynał się tam ruch, gwar, pisk i latanie nie do opisania. Obicie poruszało się, przez niezasłonięte szyby wpadał blask księżyca, oświetlając straszne obrazy, a Ani serduszko z trwogi trzepotało się w piersi i zdawało jej się, że lada chwila stanie się coś okropnego. Ale Burek czuwał nad swą małą panienką, przytulał się do niej i nóżki lizał, jak gdyby ją chciał uspokoić, aż wreszcie pod tą strażą Ania usypiała. Lucia i Kocia miały nauczycielkę. Och, jakże Ania pragnęła uczyć się wraz z niemi, aby jaknajprędzej módz pisywać liściki do swych ukochanych, ale pani S. sprzeciwiała się temu żądaniu, twierdząc, iż nauczycielka jest tylko dla jej córeczek. Biedna Ania przez kilka godzin co dzień sama sobie zostawiona, nie wiedziała czem się zająć i tęskniła okropnie. Rozkładała na kolankach swój elementarz, papier i ołówek i usiłowała sama postępować w nauce pisania, rozpoczętej pod okiem Stefka. Raz, w takiej chwili nadbiegła Lucia: Co ty tu robisz? co? czytasz? piszesz? Aj, cóż to z ciebie za mądrala! I mówiąc to, schwyciła książkę i z taką siłą w górę ją podrzuciła, że aż się wszystkie kartki z szelestem dokoła posypały. Moja książka od Stefanka, załkała Ania, zbierając podarte kartki i oblewając je łzami. Beksa jesteś, śmiejąc się krzyknęła Lucia i odbiegła. Ania jednak nie zrzekła się nauki, zebrała kartki, szczelnie je ukryła i chowając się w zaroślach ogrodu, patyczkiem na piasku literki pisała.

(D. c. n.)

* * *

Znalezione kartki.

Poznań, w początku marca.

Okropnie mi smutno i nudno. Już tydzień minął, jak przestałam chodzić na pensyę. Pomagam mamie, ale to mi nie zastąpi towarzystwa koleżanek. Ach, ten lekarz, żeby też na cały rok kazać mi przerwać naukę! Łatwo mu powiedzieć: „Wyślijcie państwo Manię w góry, albo przynajmniej na wieś". Jest nas w domu sześcioro, więc skądby tatuś wziął na takie wydatki? „Wyślijcie w góry!" Jakbym to ja była jakimś tobołkiem, który owija się w papier, okręca sznurem i w świat wysyła. Krewnych na wsi też nie mamy, więc, co robić? A na prawdę, sama czasem czuję, że chyba jestem chora, głowa mi cięży, powieki opadają, a nogi i ręce takie bezwładne! Biedna mamusia, biedny tatuś! Widzę nieraz, jak nieznacznie, z pod oka patrzą na mnie z niepokojem. Przykro mi, że przysparzam im troski, ja ich najstarsza.

Na drugi dzień.

Mój kochany tatuś jednak coś wymyślił. Słyszałam, jak wczoraj wieczorem mówił o tem z mamusią. Mnie plan tatusia co prawda wcale się nie uśmiecha, ale nie przyznam się nawet do tego, aby go nie zmartwić.

Dwa dni później.

W dzisiejszym „Dzienniku" przeczytałam takie ogłoszenie: „Poszukuje się dla 12-sto letniej dziewczynki umieszczenia na wsi, na czas kilkomiesięczny. Warunki itd." — Uśmiechnęłam się, bo domyśliłam się zaraz, że ową dziewczynką ja jestem. Bardzom ciekawa, czy też zechce mnie kto przyjąć?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wiktor Gomulicki

BOJ OLBRZYMÓW.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

51)

(Ciąg dalszy.)

Cesarz spokoju nie stracił. Rozleniwiony się zda i apatyczny. Na małej przestrzeni, u stóp zdobytej wczoraj reduty, przechadza się, raczej przewłóczy, krokiem ociężałym. Kicha; niekiedy nawet usta układa do ziewania.

Przygalopował adjutant.

— Generał Davout żąda gwardyi.

— Kogo?

— Gwardyi.

— Gwardyi cesarskiej?

— Gwardyi cesarskiej.

— Czy generał Davout oszalał?

— Nie wiem, najjaśniejszy panie. Mówi, że tylko z gwardyą weźmie redutę.

— Powiedz mu, żę ją wziąć musi bez niej. Gwardya jest nietykalna. Rozumiesz? — Nie-ty-kal-na.

Adjutant konia zawrócił, cmoknął.

— Stój! — rozkazał cesarz. — Z pomocą wam pójdzie Ney.

Skinął na innego adjutanta, rozkaz mu wydał. Obaj pomknęli natychmiast, jak na skrzydłach wichru.

Pięćdziesiąty siódmy otrzymał posiłek. Bardzo on mu był potrzebny. Załoga reduty już teraz na dwa fronty walczyć musi. Walczy zajadle: ramię przeciw ramieniu, pierś przeciw piersi.

Pokonanym trzeba z garści broń wydzierać. Nie puszczają — więc bagnet i szabla kończyć muszą rozprawę. Już to nie walka, lecz rzeź.

Aby stłumić ogień działowy, kanonierów do cna wybijać trzeba. Krew ich gasi lonty, zalewa zapały.

Caa reduta krwią ociekła. Francuzi pną się w górę po trupach rosyjskich. Gdy między nimi swój się trafi, również go depcą. Czasem, drogę sobie torując, żołnierze zrzucają z góry zabitych, ranionych i konających. Już szatan włada w ich duszach niepodzielnie. Już życie ludzkie i człowiek wogóle nic u nich nie ważą. Patrzą na śmierć wzrokiem wilka, niekiedy hyeny.

Całą załogę reduty wystrzelano i wykłóto. Mała tylko garstka uciec zdołała.

Do cesarza wieść przybiegła:

— Generał Davout melduje, że kretowisko wzięte.

Skrzywił się, niedbale bąknął:

— Dopiero?...

I odwrócił się, aby dać odpowiedź marszałkowi swemu, który od kilku minut dręczył go nużącem naleganiem.

— Czego żądasz, nieznośny Bausset?

Marszałek wskazał oczyma lokaja, który stał obok, trzymając tacę z zimnem mięsiwem, ciastem, butelkami wina.

— Daj mi spokój. Są sprawy ważniejsze.

— Najjaśniejszy panie, pozwól sobie powiedzieć, że niema spraw tak ważnych, żeby przeszkodzić mogły człowiekowi wyższemu spożyć we właściwej porze śniadanie.

— Cesarz uniósł się.

— A idź-że do...

Tamten zgiął się w nizkim, dworskim ukłonie.

— Pójdę wszędzie, gdzie każesz, najjaśniejszy panie. Nie ustąpię wszakże, dopóki nie wybłagam przyjęcia posiłku.

Spiorunował go cesarz wzrokiem. Ale ten tłusty, dobroduszny, potulny, na jedną nogę utykający Bausset, był jak konduktor, który pioruny ściąga i rozprasza. Rozpogodził się cesarz, i lekceważąco uśmiechnął.

— Udko pulardy?... — spieszył już tamten z talerzem, uśmiech za przyzwolenie biorąc.

— Chleba kawałek i kieliszek szambertyna — zażądał cesarz.

— Z wodą?

— Czystego.

Umaczał ośrodek chleba w winie, wyssał i wyplunął. Resztę wina łykiem jednym wypił, ruchem energicznym marszałka odprawił.

Trwało to kilka minut zaledwie, w tym krótkim jednak czasie na krwawym teatrze scena się zmieniła.

Zwycięstwo połączonych sił Neya i Davouta było wspaniałe i wydawało się stanowczem. Zdobyto tę straszną pozycyę, która się zwała „redutą Rajewskiego", miała zaś odtąd przyjąć miano „reduty Szewardyńskiej". Prócz tej głównej, zdobyto dwie mniejsze. Na opróżnione pole walki, które aż po zieloną kopułę cerkwi w Borodino wolne było od nieprzyjaciół, wpadł z właściwą sobie furyą, na czele bohaterskiej jazdy, Murat, przed którym resztki pokonanej armii pierzchnęły.

Tak przynajmniej się zdawało — w ciągu pierwszych minut, które Napoleon spędził na rozmowie z adjutantami i dobrodusznym panem de Bausset. Minuty ostatnie zmieniły to do gruntu.

„Zaspany stary dziadyga", przez własnego cara lekceważony, Kutuzow, ocknął się nagle, swe oko jedyne rozemknął i postanowił — drogo sprzedać przegraną.

Cóż, że przy tem tysiące i dziesiątki tysięcy ludzi życie swe położą... Nie liczył się z tem nigdy Suworow, a on przecie był najposłuszniejszym Suworowa uczniem.

Więc puszczono w ruch wszystkie, nieczynne dotąd w rezerwie trzymane i zgoła zatajone siły. Piechota, jazda, artylerya ze wściekłym rozpędem rzuciły się zewsząd na Murata i jego pułki.

Powstał zamęt.

Cios, spadający niespodzianie, stokroć jest mocniejszy od tego, na którego przyjście jesteśmy przygotowani. Francuzi, nakryci w jednej chwili ćmą wrogów, jakby z pod ziemi wyrosłych, stracili ducha, cofać się zaczęli. Na szczęście był z nimi wódz, dla którego jeśli bohaterstwo było tylko rolą, on tę rolę grał po mistrzowsku.

Zamęt powiększyli Westfalczycy, których cesarz pchnął na pomoc Poniatowskiemu. Dym, mgła i kurzawa, zwartą zasłoną nakrywając pole walki, nie pozwoliły im odróżnić

swoich od wrogów. Wynikła stąd gęsta i mordercza strzelanina do jazdy francuskiej.

Murat wkroczył do wielkiej reduty — nie ucieczki w niej szukając, lecz tylko dogodnego do walki punktu.

Popłoch trwał. Zasypywani zewsząd kulami, tratowani końmi, sieczeni i kłóci Francuzi, opuszczali szyki, plątali się, jedni drugich potrącali.

Zrozumiał Murat, że rozproszonych trzeba skupić. Więc wstępuje na miejsce odkryte a wyniosłe, i w jednej ręce dzierżąc szablę, drugą ująwszy swój teatralny kołpak z pióropuszem, potrząsa nim nad głową, jak sztandarem. Upadającym na duchu ten znak mówi:

— Trzymajcie się! Ja z wami! Francya górą!...

Kule, jak bąków i os chmury, brzęczą, huczą, gwiżdżą dokoła jego głowy. On swym kołpakiem opędzać się im zdaje. Zresztą, od początku tej kampanii nosi w duszy pewność, że bez szwanku z niej wyjdzie. Tęż samą pewność ma Ney. Obaj jakby czarować umieli pociski, wśród piekła bitewnego chodzą swobodni i bezpieczni, jak Machabeje w piecu ognistym.

Na geście bohaterskim Murat nie poprzestaje. Wyprawił gońca do cesarza, przysłania młodej gwardyi żąda. Napoleon niechętny jest tym wezwaniom. Namyśla się, zwłóczy — przez lunetę nieustannie teatr walki bada.

— Niech idą... — mówi wreszcie zły, przez zaciśnięte zęby.

Pułki, dotąd jakby w ziemię wrosłe, karabinami zadzwoniły. Z miejsca ruszają — idą...

Cesarz z lunetą przy oku, znów wzrokiem i duszą w wir walki się wgłębił. Rozjaśniła mu się nagle twarz, brwi ściągnięte rozsunęły. Rękę do góry podniósł.

— Stać! Na miejsca! — silnym głosem rozkazuje.

Gwardya znów karabinami zadzwoniła. Wykonywa dwa półobroty, poprzednie stanowisko zajmuje. Znów jest wspaniała, błyszcząca, groźna i — w ziemię wrosła.

To, co cesarz dojrzał przez lunetę, kazało mu szyk walki zmienić.

Gdy prawe skrzydło francuskie zwyciężyło, jako mocniejsze, Kutuzow zamierzył złamać skrzydło lewe. Rzucił tam, nakształt dwóch gromów, zajadłe kozactwo Płatowa, oraz jazdę wyborową, którą dowodził generał Uwarow.

Napad był wściekły. Obu pułkom walczyć kazano na przepadłe.

Lekką jazdę francuską generała Ornano z miejsca złamano, wbito w ziemię, rozproszono. Piechota księcia Eugeniusza sformować musiała czworoboki. Sam książę w niebezpieczeństwie się znalazł.

Nie gwardzistów marsz, przez wroga utrudniony, był tam potrzebny: głosem przekonywającym przemówić musiały armaty.

Ten głos najmilszy był dla ucha cesarza; jego potędze najsilniej on ufał.

Więc — znów skinął.

— Korpus Neya, jazda króla Neapolitańskiego — tam! na lewe skrzydło! w pomoc Friantowi... Działa z rezerwy — naprzód!

Zaczerwieniło się pole walki. Krwawe opary zmieszały się z mgłą i kurzawą.

Strasznym głosem przemówiła artylerya francuska — pół tysiąca dział, zagrało w zgodnym akordzie. Rosyanie odpowiedzieli ciszej i nieskładnie. Ich pociski, gęsto, zajadle, lecz jakby na oślep, wyrzucane, latały w różne strony, nie donosiły, lub przenosiły. Kilka upadło blizko miejsca, gdzie stał cesarz. Zabłąkane, jakby znudzone i osłabłe, nie miały siły głęboko w piasek się zaryć.

Cesarz gorące jeszcze odtrącał końcem buta, jak się odrzuca na przechadzce drobne kamyki.

Bladość i dziwny wyraz włoskiego, lazaronowskiego rozleniwienia nie schodziły z twarzy Napoleona. Niewiele mówił; nawet w gestach był skąpy. Wydawał się niepewnym siebie, chwiejnym, mozolącym się bez skutku nad rozwiązaniem trudnego zagadnienia.

Po wiele razy, gdy nań o wydanie stanowczych poleceń nalegano, odpowiadał:

— Jeszczem się na swej szachownicy nie rozpatrzył...

Albo na zegarek spoglądając:

— Jeszcze godzina moja nie nadeszła...

Często też do tego i owego z zapytaniem się zwracał:

— Cóż Poniatowski?... O Poniatowskim wiedzieć muszę... Od Poniatowskiego wiadomość mi potrzebna!...

Chodził, stawał, siadał, tabakę zażywał, przez lunetę patrzył. Z pozoru wszystko mu było obojętne. Nagle nie tyle przestrach ,ile zdziwienie odmalowało się na jego twarzy.

Wielka reduta, reduta Szewardyńska owinęła się, jak góra Synai chmurą gromową. Wśród chmury migotały błyskawice, grom huczał po gromie.

Odgadł co się stało. Redutę Rosyanie wydarli napowrót zwycięzcom. Zrozumiał też, że ją odzyskali ceną olbrzymiego wysiłku, wartość jej może przechodzącego.

— Przeklęte kretowisko... — mruknął pod nosem, nie okazując na pozór żadnego wzruszenia. Bez wzruszenia też wydał rozkazy: reduta ma być wzięta ponownie; zajmą się tem kirasyerzy generała Montbruna; artylerya rozwinie ogień dwakroć silniejszy.

Rozkazy spełniono. On sam, spokojny, marmurowy siada na stołku obozowym i po tabakierkę sięga.

Montbrun „rycerz żelazny", nie wie, co znaczy: cofać się. I w szesnastu jego pułkach niema nikogo, co by ten wyraz zrozumiał. Kirasyerzy, straszni z wejrzenia, w blachy grube zakuci, posuwają się naprzód wolno, a niezłomnie, niby poruszana siłą tajemną ściana z żelaza.

Jak trawa pod kosami postępujących rzędem kosiarzy, tak wałem trupów kładzie się przed nimi piechota rosyjska. Ale Kutuzow zgromadził jej tak wiele, krwią jej tak hojnie szafuje, że ubytku prawie nie widać. Na miejscu wybitego do nogi plutonu wyrasta natychmiast drugi — aby z kolei ustąpić trzeciemu.

Montbrun szukał zwycięstwa lub śmierci. — Znalazł — śmierć.

Pada trupem i następca jego, generał Nansouty.

Władzę po nim bierze Defrance i również życiem ją płaci.

A kirasyerzy, straszni, w blachy grube zakuci, posuwają się wciąż, zwolna, lecz niezłomnie.

Na chwilę pułki pozostają bez wodza.

Na spienionym koniu goniec od nich przypadł do Napoleona. Wygłasza przed nim listę żałobną poległych generałów. Cesarz przyjmuje każde nazwisko ruchem głowy i rąk.

— Stało się — mówić się zdaje. — Wieczny mu odpoczynek. Ja go nie wskrzeszę...

Powiódł cesarz wzrokiem po najbliższej grupie oficerów. Stał tam poczciwy de Bausset, którego okrągła, dobroduszna twarz rażąco odbijała od tragicznego tła chwili; stali dwaj bracia Caulaincourtowie, z których młodszy, generał, rozmawiał wesoło ze swym adjutantem. Na wojnie wesołość obowiązuje.

Na młodszym Caulaincourcie zatrzymał się wzrok Napoleona. Był to oficer młody, urodziwy, który na kilka godzin przed wyruszeniem na pole bitwy, poślubił piękną, ukochaną kobietę. Znana była całej armii miłość, łącząca obu braci. Za wzór ich sobie stawiano. Nie rozdzielali się w dniach wesela! nie rozdzielali się w niebezpieczeństwie. Teraz ich sojusz serdeczny jedno spojrzenie cesarza miało rozerwać.

Przyzwany skinieniem władcy, pośpieszył Caulaincourt przed jego oblicze.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Przepowiednia kabalarki.

Z oryginału angielskiego przełożyła M. K.

11

(Ciąg dalszy.)

— Nie jest to dobry uczynek? Wiele lepiej dla niego, że rozmawia ze mną o obojętnych rzeczach, niż by miał grać. Niechże cię poraz ostatni zapewnię, że nigdy o miłości nie wspomni.

— Naturalnie lepiej dla niego, ale czy lepiej dla ciebie? Oto co mnie zastanawia. Czasami nie dobrze wyglądasz Sylwio, jesteś smutna. Ale nie bój się jesteś piękna jak zawsze.

Łzy spływać poczęły po Sylwii obliczu. Coś na kształt gniewu przemknęło przez jej serce, a jednak nie mogła się gniewać — Anna mówiła tak łagodnie i serdecznie.

— Mamy wyjechać z Lacville? — spytała pani Wolska nagle. Jest sto innych miejsc, dokąd możemy razem wyjechać. Opuścimy Lacville. Jestem pewna, hrabia cię nigdy nie uszczęśliwi.

Sylwia potrząsnęła głową.

— Nie chciałabym wyjechać — szepnęła.

Nagle pani Wolska wykrzyknęła:

— Ach teraz rozumiem, to on jest tym przyjacielem, z którym będziesz jutro w Paryżu.

Sylwia milczała.

— Teraz rozumiem. Dla tego nie był dziś wieczorem. Pojechał do Paryża, aby cię nie kompromitować. To jest taka nic nie znacząca galanterya. Jakby to Lacville co obchodziło. Ale powiedz Sylwio? Czy kiedy chciał cię zapoznać ze swoją rodziną. To jest najlepszy dowód — pamiętaj — najlepszy dowód miłości Francuza.

Nagle zapukano do drzwi. Powóz zajechał. Zeszły na dół, Sylwia nie odpowiedziała na ostatnie zapytanie przyjaciółki.

Pani Wolska ucałowała serdecznie Sylwię.

— Niech cię Bóg błogosławi, drogie dziecko — szepnęła — wybacz mi wszystko co ci dziś wieczorem mówiłam. Żyłam długo we Francyi. Jestem prawie Francuzką. Nie mogłabyś wyjść za Francuza, gdyby jego rodzina oponowała, a ja rozumiem, że ona ma wielki wpływ na niego.

Sylwia weszła do powozu ze łzami w oczach.

Anna Wolska stała przed drzwiami pensyonatu, a smukła jej sylwetka odcinała się ostro na oświetlonej ścianie.

— Spotkamy się pojutrze, dobrze? — krzyknęła.

Sylwia skinęła głową.

A kiedy odjeżdżała, mówiła sobie w duszy, że cokolwiek się zdarzy, zawsze Annę z wdzięcznością wspominać będzie.

ROZDZIAŁ XIII.

Następnego dnia przechadzał się Paweł de Vinci po peronie nr. 5 Dworca Północnego, oczekując pociągu, wiozącego Sylwię, który miał przybyć o jedenastej z Lacville.

Chociaż wyglądał, jakby żadnej troski nie miał, życie w tej chwili przedstawiało mu się bardzo szaro.

Dla Paryżanina Paryż w gorącem powietrzu jest bardzo nieprzyjemny i hrabia czuł się też zupełnie przygnębiony w mieście, gdzie spędził życie.

Siostra jego, która codopiero do miasta przyjechała, przyjęła go z całą siostrzaną serdecznością.

A gdy opowiedział jej o Sylwii, prosił o konie i amazonkę, zgodziła się na wszystko chętnie, zapytała tylko niedyskretnie, czy zamierza naprawdę poślubić młodą wdowę.

Na to hrabia uczciwej odpowiedzi nie znalazł. Sam był w rozterce co do stosunku swego do Sylwii.

Często mówił sobie, że znajduje się w zupełnie niestosownem miejscu — przegrywa pieniądze w baccarata i przebywa w niekoniecznie stosownem towarzystwie pani Wolskiej i Wachnerów.

Lecz jeśli Sylwia tam niepotrzebna, to i on nie ma racyi tam się znajdować, a jeszcze do tego flirtować z piękną Angielką, bo chociaż Sylwia ignorowała ten fakt, hrabia wiedział dobrze jak nazwać stosunek swój do niej, do swej „małej angielskiej przyjaciółki", jak ją nazywał w myśli.

Myśląc nad wszystkiem tem, powziął zamiar, że jako uczciwy człowiek powinien z Lacville wyjechać, a nie bałamucić dalej. Właśnie kiedy to postanowił, pociąg zajechał na stacyę.

Niedługo Sylwia wysiadła z pociągu, a Paweł poprowadził ją do eleganckiej karety księcia, oczekującej na ulicy.

Pojazd pospieszył przez szerokie ulice w pospiesznem tempie, Sylwii zdawało się, że rzeczywiście znajduje się w jakiejś zaczarowanej nad wyraz cudownej krainie, a hrabia jakby chciał przedłużyć iluzye rozpoczął dziwną rozmowę.

— Każdy Francuz kocha miłość — a jeśli pani usłyszy czasem, że Francuz wyjątkowo kocha żonę, odpowiedz pani, że to nieprawda. Bo często się zdarza, że w żonie znajduje się miłość, której naprożno szukał gdzieindziej. A co do małżeństwa, to wiemy, że żaden Francuz nie żeni się z tak lekkiem sercem, jak Anglik, jak naprzykład dużo moich przyjaciół ze szkół to uczyniło. Nigdyby się też Francuz nie ośmielił oświadczyć kobiecie, którą kocha, gdyby nie miał przeświadczenia, że może ją uczynić szczęśliwą.

Sylwia spojrzała uważnie.

— A czy Francuz jaki zaprzestałby życia złego dla kobiety kochanej?

— Tak jest — na rązie byłby zdolen do wszystkiego, ale czyby wytrwał, to jest pytanie, którego nie śmiałbym potwierdzić.

Nagle Paweł zmienił temat.

— Mój szwagier mieszka zawsze w starym pałacu familijnym, zbudowanym jeszcze przed rewolucyą.

Wtem powóz się zatrzymał i Sylwia znalazła się niebawem w ogromnej sali, pełnej cudnych gobelinów, prezentów Ludwika XIV. Wygalowany lokaj zaprowadził ją na górę, gdzie w westibulu stała smukła, młoda kobieta w bieli.

Sylwia nie widziała jeszcze nigdy księżnej i dziwiła się bardzo jej bezpretensyonalnemu wyglądowi.

Maria — Anna d'Eglemout, mówiła głosem cichym, w

nieśmiałej angielszczyźnie, którą daleko gorzej władała niż brat.

Po doskonałem śniadaniu we wybornej jadalni, gdzie malowidła były pędzla Van Loo'ego i skąd przez drzwi otwarte wchodziło się do ogrodu, weszła nagle stara, chuda jejmość do pokoju, ubrana w powłóczystą czarną suknię i maleńki koronkowy czepeczek.

Hrabia skłoniwszy się, ucałował woskową rękę staruszki.

— Droga chrzestno, pozwól, iż ci przedstawię panią Bailey — i Sylwia uczuła na sobie oczy starej kobiety wpatrujące się w nią do głębi — oczy, które więcej widziały niż niejedne młode.

Stara markiza podała rękę Pawłowi i oboje zeszli do ogrodu po wysokich schodach.

Po raz pierwszy Sylwia została sama z księżną.

— Dziękuję pani bardzo za dobry wpływ na mego ukochanego brata — rzekła markiza — on panią bardzo ceni.

Sylwia potrząsła głową.

— Tak jest — pani wie co mam na myśli i o co chcę panią prosić — mój mąż mógłby Pawłowi dać zajęcie u siebie na wsi — gdyby tylko ta nieszczęśliwa pasya do gry ustała.

Urwała nagle, bo Paweł z markizą zbliżyli się powoli.

Stara dama z widocznem zadowoleniem przyglądała się Sylwii, a wreszcie wyrzekła:

— Pozwól, że cię uściskam, drogie dziecko — jesteś prześlicznem, miłem stworzeniem. Bez wątpienia dużo młodych ust mówiło ci to, ale pochwała starej kobiety jest bardziej szczera.

Schyliła się, a Sylwia zmieszana uczuła zmarszczone usta na skroni i licach.

— Pani Bailey różowość jest naturalna — dodała — nie schodzi. Ale doprawdy czasem kobiety są zbyt skromne w używaniu kosmetyków, drogie dzieci. Ty naprzykład Marya-Anno lepiejbyś wyglądała, gdybyś była uróżowana.

Księżna uśmiechnęła się.

— Ależ czułabym się zawstydzoną, gdyby róż zeszedł— rzekła wesoło — jakżeby to wyglądało, jeden policzek blady, a drugi różowy.

— Nigdyby się to nie stało, gdybyś używała co ci radzę: są to tarte kwietne cybulki — dają zupełną różowość cerze, droga moja matka zawsze to używała. Przypominam sobie jak Ludwik XVIII zachwycał się jej cerą, na balu królewskim. Otóż króla komplementy zawdzięczała jedynie cybulkom kwiatowym.

ROZDZIAŁ XIV.

Dzień następny po bytności w Paryżu jakże się nudnym Sylwii zdawał. Hrabiego nie było we willi. Ale następnego dnia mieli konno wyjechać na przechadzkę.

Ciągle i ciągle wracała Sylwia myślą do tych dwóch godzin, spędzonych we Fauborug St. Germain.

Jakże uprzejme obie panie były dla niej, a mianowicie dobroć staruszki wzruszyła Sylwię do głębi.

Ale niedługo przypomniała sobie Sylwia umowę z Anną. Ponieważ zapowiadało się bardzo gorące popołudnie, napisała karteczkę, czyby się nie zgodziła wyjechać do lasku Montmorency. Wszakże Anna miała zamiar po kasynie wypocząć, będzie więc to zupełnie w jej guście.

Mogły potem po Wachnerów wstąpić i spędzić przyjemny wieczór — tu przyszło Sylwii na myśl, że hrabia nie cierpiał Wachnerów, nigdy im się nie kłaniał. Nie ma dziwu, że pani Wachner miała liche wyobrażenie o nim.

A jednakże czyni im krzywdę — byli to przecież zupełnie spokojni, dobrzy ludzie — jakże serdecznie jeszcze na kolacyę zapraszali.

Nagle zapukano do drzwi.

Posłaniec, wysłany do Anny, wszedł do pokoju. Ku jej wielkiemu zdziwieniu, wręczył jej własny list, pisany do przyjaciółki. Na dołączonej kartce ordynarnem pismem były wypisane słowa: pani Wolska wyjechała.

Sylwia podniosła głowę, „wyjechała?" Słowo to zmieszało ją niewypowiedzianie, miało być pewnie „wyszła". A może Anna pojechała do Paryża, oddać pieniądze do banku?

— Więc tej pani nie ma? — spytała posłańca.

— Ależ to musi być omyłka — moja przyjaciółka nie opuściłaby nigdy Paryża bez pożegnania się zemną.

Posłaniec dodał: Zamówiłem też automobil, jak mi pani rozkazała; czeka przed drzwiami.

Sylwia zapłaciła pospiesznie i zeszła na dół. Co za dziwna pomyłka; zupełnie było wykluczone, aby Anna miała opuścić tak nagle Lacville. W każdym razie postanowiła osobiście udać się do pensyonatu, a zarazem zapytać dlaczego jej list otwarto?

Jeśli Anna pojechała do Paryża, pojedzie sama na przechadzkę. Nie było to zachęcające, ale lepiej niż samotność we willi du Lac.

Sylwia była głęboko zasmucona, wsiadając do automobilu. Tak napewno liczyła na zobaczenie się z Anną. Przypominała sobie ostatnie słowa przyjaciółki. Jakże były serdeczne, troskliwe, a chociaż nie była za przyjaźnią z hrabią de Vincim, mówiła do Sylwii łagodnie, upominająco, po macierzyńsku.

Ale dziwne było, że Anna żadnej wiadomości nie zostawiła dla niej przed wyjazdem do Paryża. Napewno państwo Wachner będą wiedzieć, kiedy Anna powróci. Wszakże u nich była wczoraj na kolacyi.

Gdy Sylwia pogrążona w myślach, jechała do pensyonatu Malfait, ujrzała nagle panią Wachner, idącą wolno ulicą.

— Pani Wachner, pani Wachner — zawołała i kazała zatrzymać automobil.

Pani Wachner wyglądała ogromnie zaaferowana i właściwie dziwna była jej ranna przechadzka, ale Sylwia nie zauważyła tego.

— Czy pani wie, że Anna Wolska wyjechała dzisiaj? — spytała. — Doniesiono mi z pensyonatu Malfait. Niech pani jedzie ze mną, dowiemy się kiedy pojechała i kiedy powraca. Czy nie wspominała pani wczoraj wieczorem o zamierzonym wyjeździe?

— Nic nie wiem — rzekła powoli, siadając przy Sylwii — nie wiem co się stało z panią Wolską.

— Co jej się stało? — krzyknęła Sylwia przerażona — co pani myśli?!

— Naturalnie, nic się nie stało. Ale pani Wolska nie była u nas wczoraj wieczorem, napróżno oczekiwaliśmy jej.

— Przecież miała zamiar być u państwa na kolacyi.

— Tak jest, czekaliśmy bardzo długo, przygotowałam doskonałą kolacyę, niestety nie raczyła się ukazać!

— Jakie to dziwne, ale może otrzymała depeszę, zawierającą jaką złą wiadomość.

— Tak być może — podjęła pani Wachner żywo — bez kwestyi, bo dziś rano mówiono mi w pensyonacie Malfait, że wyjechała. Dlatego to szłam właśnie do pani, aby się może od niej cośkolwiek dowiedzieć.

— Wyjechała? Ależ to wykluczone, bez pożegnania się zemną, to niemożliwe.

— Tak zrobiła to, jak Anglicy nazywają „francuski wyjazd" — nie było to bardzo ładnie z jej strony. Mogła była nas uwiadomić wczoraj. Nie bylibyśmy tak długo czekali napróżno.

— Nie mogła wyjechać, nie pożegnawszy się zemną — powtarzała Sylwia. — Nigdyby tego nie uczyniła. Jestem pewna.

Starsza kobieta wstrząsnęła ramionami.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

W płomieniach.

10) Z francuskiego tłumaczyła M. P.

(Ciąg dalszy.)

Ale Ryszard odsunął gniewnie pieniądze i rzekł stanowczo:

— To jest niemożliwe, Nellie! Nie mogę przyjąć tego i nie przyjmę! Zresztą wyznaczono mi już adwokata, i jestem przekonany, że on mnie ocali!

Oczy młodej dziewczyny napełniły się łzami.

— Więc odniosę pieniądze — rzekła — i powiem, że ty — nie, że my — jesteśmy jej bardzo wdzięczni, ale że pomocy jej przyjąć nie możemy. Pójdę, zaraz jutro rano na ulicę — na jakiejże ulicy ona mieszka? Powiedziała mi przecież swój adres...

— Na ulicy Kleber!

— Prawda! Ulica Kleber! Gdzie podziałam jej kartę? Zapomniałam numeru — jaki to numer właściwie?

Nellie usiłowała mówić spokojnie, chociaż serce jej biło gwałtownie, ale teraz domyślił się Ryszard podstępu i rzekł:

— Rozumiem, Nellie! Nie znasz ani jej nazwiska, ani adresu i chcesz się odemnie dowiedzieć! Nellie, czy chcesz, abym postąpił jak łotr?

— Wybacz, najdroższy, — prosiła zawstydzona. — Ale to na twoje dobre! Pan Coquenil powiedział mi, że muszę się dowiedzieć nazwiska tej kobiety. On jest przekonany o twej niewinności i chce to udowodnić.

— Coquenil? Mam nadzieję, że zdoła to uczynić, ale powiedz mu, aby nie szukał tej kobiety.

— Przeciwnie, znajdzie ją z pewnością! W najbliższych dniach dowie się o niej wszystkiego i dla tego myślałam, że...

— Rozumiem, ukochana, — starał się pocieszyć ją — i Bogu wiadomo, jak chętnie bym się wydostał z tego przeklętego więzienia! Ale trzeba pozostać uczciwym człowiekiem, nieprawda? Uspokój się Nellie, jestem niewinnym i niewinność moja musi się wkrótce wykazać. Nie mówmy już o tem! Jestem szczęśliwy, że cię widzę najdroższa! Ale teraz ja muszę cię o coś zapytać! Wiesz, siedząc w samotnej celi, myśli się nieraz o najdziwniejszych rzeczach...

— O czem, Ryszardzie?

— Myślę naturalnie najwięcej o tobie i czasem zdaje mi się, że jakaś tajemnica otacza cię, Nellie, i...

Młoda dziewczyna zerwała się i patrzała na niego przerażona; źrenice jej rozszerzyły się najpierw a potem zwężyły tak, jak się to dzieje w chwilach największego przerażenia i trwogi.

— Jak możesz myśleć coś podobnego? — zawołała bez tchu nieomal.

— Nie unoś się tak, — rzekł Ryszard serdecznie, — nie chciałem cię przecież obrazić. Wiesz przecież jak cię kocham — ani sto tajemnic nie zdołałoby zmienić uczuć moich dla ciebie. Możesz spokojnie o tem ze mną rozmawiać.

— Będziesz mnie kochał — zawsze? — spytała drżącym głosem i łzy błysnęły w jej oczach.

— Jak możesz nawet o to pytać! Czy jestem człowiekiem nieuczciwym? Przecież i ty kochasz mnie, chociaż jestem w więzieniu! O Nellie moja, należymy do siebie i nic nas już rozłączyć nie zdoła.

Nellie uśmiechnęła się uszczęśliwiona.

— Nie! — szepnęła. — Bo inaczej — umarłabym!

— Będziesz moją najdroższa, czy prędzej, czy później, moją na zawsze! Ale teraz powiedz mi — czy mam słuszność co do tajemnicy, otaczającej ciebie?

— Obawiam się, że — tak!

— Widzisz, nie myliłem się! Podpadały mi rozmaite drobnostki, naprzykład: masz doskonałą wymowę angielską, tak, jak gdybyś była dawniej mówiła płynnie tym językiem. A to przecież jest niezwykłem u kuzynki biednego snycerza belgijskiego.

— Ja — ja zawsze umiałam po angielsku, — szepnęła zmieszana.

— Ach, doprawdy? Gdzie się tego nauczyłaś? I zkąd masz takie śliczne, delikatne, białe ręce? Wyglądasz wogóle jak księżniczka! A przecież sprzedajesz świece w kościele! Zdaje mi się, że jesteś przebraną królewną!

— Twoją królewną, Ryszardzie.

— Tak, moją, najdroższą, ukochaną panią! Powiedz mi więc, czemu otaczasz się taką tajemnicą?

Twarz Nellie zbladła.

— Ach, gdybym ci to powiedzieć mogła! — wyjąkała — ale ja...

I bezradna patrzała na niego.

— Czy to coś, czego nie rozumiesz?

— Tak.

— I co ciebie tyczy?

— Tak. Nie mówiłam o tem z nikim jeszcze, bo, bo — mam strach!

— Strach?

— Tak.

— I dla tego nie chciałaś zostać moją żoną?

— Tak Ryszardzie!

Młody człowiek zdumiony, spojrzał na nią i zauważył, że była blizką zemdlenia.

— Biedne dziecko — rzekł serdecznie — jestem potworem, że zmusiłem cię do mówienia o tem.

— Ale wierzysz mi, że nie popełniłam nic złego — szepnęła Nellie niespokojnie — nic, czego bym się wstydzić musiała!

— Jak możesz myśleć coś podobnego! — odpowiedział poważnie. — Mówmy o czem innem, kochanie.

— Ach, chciałabym ci tak chętnie coś o tem powiedzieć, ale — nie wiem! W myślach moich i w duszy mej jest coś ciemnego, co mnie niepokoi i strachem przejmuje, mianowicie w nocy.

— Nic dziwnego! Siedząc cały dzień w ponurym kościele, pełnym kościotrupów i duchów! Poczekaj, zadziwisz się, jak inaczej życie uśmiechać ci się będzie, skoro zamieszkamy razem w małym, ładnym domku w Orange, w New-Jersey!

Nellie chciała mu odpowiedzieć, lecz w tejże chwili zbliżył się dozórca.

— Za trzy minuty musi panienka odejść — rzekł uprzejmie.

— All right! — zawołał Ryszard.

Nellie ukryła twarz w dłoniach i zapłakała cicho.

— Nie płacz, najdroższa, to nic nie pomoże — szepnął Ryszard. — Dodałaś mi odwagi i otuchy! Wszystko skończy się dobrze! Jestem silny i potrafię się obronić, miłość dla ciebie zwalczy wszystkie przeciwności. Idź z Bogiem i ufaj mi!

— Ryszardzie — prosiła raz jeszcze, tuląc się do niego — powiedz mi nazwisko tej kobiety!

— Dlaczego? Dlaczego pytasz mnie ciągle o nie, a wiem przecież, że znasz je tak dobrze jak i ja.

Nellie zdumiała.

— Ależ nie! Nie znam go, lecz pragnę gorąco, abyś mi je powiedział.

Ryszard milczał.

A gdy znów kilka minut później siedział w swej celi, wyjął z kieszeni miniaturowe wydanie poezyi ulubionego Musseta i spojrzał na pierwszą zaraz kartę. Nellie twierdziła, że nie zna nazwiska tej kobiety i usiłowała go poprzepdnio podstępem nawet zmusić do wymienienia go, a przecież owego wieczora napisała je, zupełnie wyraźnie, na pierwszej stronie książki! Co to miało znaczyć?

ROZDZIAŁ XI.

Coquenil bardzo był zadowolony z sprawozdania Nellie, tem więcej, że wysłany do Londynu urzędnik policyi telegrafował, że bank Munwe i Sp. wypłacił owe pięciofuntowe banknoty Addinowi Vilmott w Paryżu. Natychmiastowe zapytania wykazały, że Addin Vilmott bogatym był Amerykaninem, który z swą piękną, lecz ekscentryczną żoną, córką kalifornijskiego molionera, zamieszkiwał w wspaniałej willi na ulicy Klebera. Piękna Lola Vilmott, rozwiedziona już dwa razy, zanim zaślubiła pana Vilmott, była nietylko w kolonii amerykańskiej, lecz w całym Paryżu znaną i bardzo lubioną osobistością. Uchodziła wszędzie za kobietę trochę lekkomyślną i zbytecznie lubiącą zabawy, ale znano jej dobre serce i ceniono jako „wesołego towarzysza".

To było wszystko, co Coquenil o niej wiedział, gdy w poniedziałek w południe stawił się w willi pana Vilmott.

Bogaty Amerykanin zamierzał właśnie siadać do automobilu i słuchał trochę niecierpliwie, gdy detektyw pytał go o owe banknoty, których szukał dlatego, że były podobno fałszywe.

— Nie mam ich już, mój panie — odrzekł dobroduszny, otyły Amerykanin. — Rozleciały się na wszystkie strony świata!

Coquenil wyraził żywo swoje ubolewanie i pozwolił sobie zapytać, czy pan Vilmott przypomina sobie może, komu je dał.

— Czekaj pan — rzekł Amerykanin, namyślając się — zdaje mi się, że dwa albo trzy dałem za bieliznę w jakimś sklepie na ulicy de la Paix — jeden zamieniłem u Henry'a na pieniądze francuskie, a resztę — ach, wiem już, resztę dałem mojej żonie!

Detektyw podziękował bardzo grzecznie, a pan Vilmott, zadowolony, że się pozbył natrętnego gościa, pojechał do Fontainebleau.

Następne godziny przepędził Coquenil nad dokładnem badaniem prywatnego życia pięknej pani Loli Vilmott. Dowiedział się więc, że miała mnóstwo wielbicieli, ale że jej niczego zarzucić nie było można i że, co go najwięcej interesowało lubiła namiętnie sport i hazard w karty. Znano ją nietylko w salach gry w Monte Carlo i na placach wyścigowych w Paryżu, ale nadto widywano ją i w salach bilardowych w Olympii, gdzie podziwiała Martineza i nieraz wysokie sumy na grę jego stawiała. Jeden z tamtejszych markizów przypominał sobie bardzo dobrze, że próżny Martinez nazywał ją zawsze „swoją piękną Amerykanką", chociaż prawdopodobnie nie wiedział wcale, jak się nazywała.

Gdy Coquenil przedwieczorem zwrócił się znowu na ulicę Klebera, rozważał nad tem, czy było możliwem, aby ekscentryczna ta kobieta mogła iść na obiad z artystą bilardowym do osobnego pokoju! Możliwem to ostatecznie być mogło, jeżeli wszystko, co o niej mówiono, polegało na prawdzie! W każdym razie trzeba mu było bezwarunkowo zobaczyć ją!

Pani Vilmott przyjęła go z obojętną grzecznością, ale gdy powiedział, że jest urzędnikiem tajnej policyi, i że pragnie jej stawić kilka pytań, odnoszących się do morderstwa w hotelu Ansonia, wtedy wstała i z dumą królowej oświadczyła, że uważa wizytę jego za skończoną.

Ale Coquenil nie dał się tak łatwo zbić z tropu. Znał on już od dawna kobiety wielkiego świata i umiał z niemi postępować.

— Zostań pani, proszę — rzekł spokojnie. — Musisz mi pani z łaski swej wytłumaczyć, jakim sposobem znalazły się w kieszeni zamordowanego banknoty, które mąż dał pani przed kilku dniami.

— Zkąd ja mam wiedzieć o tem? — zawołała gwałtownie. — Banknoty te wydałam w sklepach i nie jestem za nie odpowiedzialną! Bardzo mi to obojętne, co się później z niemi stało! Zresztą jestem zaproszona dziś na obiad i muszę się ubierać. Nie widzę celu w dalszej naszej rozmowie.

— Nie? — rzekł Coquenil z uśmiechem i spojrzał jej przenikliwie w oczy. — Cel mej rozmowy z panią jest ten, abyś mi opowiedziała wszystkie szczegóły owego obiadu w Sobotę, gdy Martinez został zamordowanym..."

— To nie prawda — krzyknęła. — Ja tego człowieka wcale nie znałam! Jak pan śmiesz przychodzić tu i obrażać mnie w moim własnym domu!

— Stawiałaś pani raz po raz zakłady na grę Martineza — mówił Coquenil spokojnie dalej. — To nie żaden dowód! Ale pani zostawiłaś w hotelu płaszcz i torebkę to jest niezbitym faktem! Na skórze w wnętrzu torebki było nazwisko pani wyryte, i adres także. Przyjaciel pani wyciął w dorożce całą klapę, pokrajał na kawałki i wyrzucił je, ale ja pozbierałem wszystko i...

— Pan — pan — — zaczęła pani Vilmott, blednąc — to pan — —

— Tak! Co się działo w numerze szóstym?

Piękna Lola patrzała na niego przez chwilę w niemem przerażeniu, potem nagle, usiadła i twarz jej zupełnie inny przybrała wyraz.

— Przepraszam, — rzekła z uśmiechem, — nie rozumiałam poprzednio pańskiego nazwiska!

— Andrzej Coquenil!

— Siadaj pan, proszę — ten fotel jej wygodniejszy. Tak, teraz opowiem panu wszystko dokładnie. Słuchaj pan! Było to największem szaleństwem, jakie w życiu mojem popełniłam. Martinez dostał rzeczywiście te banknoty odemnie. Prosiłam go, aby je stawił za mnie, gdy będzie grał przeciwko Napierowi. — Martinez przysięgał, że wygra wszystkie partye.

— Ale obiad — w numerze szóstym?

Pani Vilmott z uśmiechem wzruszyła ramionami.

— Miałam ważne do tego powody, — rzekła. — Potrzebowałam pomocy mężczyzny, który mnie nie zna, a że Martinez składał mi zawsze hołdy, i mówił, że mnie uwielbia, przeto udałam się do niego. Czego chciałam, o to teraz nie chodzi, ponieważ biedny człowiek nie mógł już prośby mej wypełnić.

(Ciąg dalszy nastąpi.)